



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicę: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Atak lekkiej kawalerii. — Żli ludzie, opowiadanie Jana Liera, przełożył z czeskiego S. Tomaszewski. — Leopolda XII. p. Juniusa. — Zjazd pedagogiczny, p. Prawdzica. — „Cztery prądy ducha” („Les quatre vents de l'esprit”), p. M. O. — Kometa Cruza (1807—1881), p. B. Abakanowicza. — Piśmiennictwo polskie: Studya nie z natury Wł. Spasowicza, p. A. G. Bema. — Projekt banku państwowego dla ubezpieczenia rozchodu, III. Zarzuty (dokończenie). — Liberum veto. — W Perspektywie p. A.—m. — Tydzień polityczny p. S. S. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

ATAK LEKKIEJ KAWALERII.

Książka p. Chmielowskiego o literaturze polskiej z ostatnich lat szesnastu — dała w obozie zachowawczym hasło do ataku nie tylko na autora, ale i na całą „partię” postępową u nas. Wzięły w nim udział różne siły umysłowe: zarówno poważni zapasnicy konserwatywnej chorągwi, jak i weseli chłopcy, którzy biegną przed każdą armią, a podrzucając w górę nogami i łapiąc swoje własne chodaki, sądzą, że składają dowody wielkiego męstwa. O tej awangardzie konserwatyzmu pomówimy później; naprzód zajmiemy się jego drużyną poważniejszą.

Gdy przed kilkunastu laty zawrzała w naszej prasie walka między zastępem „młodych” a „starych,” najgłośniejszą i najskuteczniejszą bronią ostatnich był zarzut, że pierwsi wraz z ich niedostatkami sponiewierali zasługi, że nie zdołali utrzymać się w granicach sprawiedliwości, że nadewszystko uprawiali szykanę osobistą, a niekiedy posuwali się do paszkwili. W zarzucie tym było wiele przesady, umyślnie spotęgowanej dla obrony zagrożonych swoich stanowisk i moralnego obojętności napasici, było wiele niepamięci o paszkwilach i szykanach, spotwarzających stronę przeciwną i usprawiedliwiających jej namietność; dziś jednak oceniając minione wypadki chłodno, przyznać musimy, że walkę wypowiedzieli młodzi i że ją czasem prowadzili zbyt okrutnie, że zbyt często dla pewnych „starych” lekceważeniem. Mówimy: dla pewnych, gdyż cokolwiek wówczas i dziś oskarżyciele postępowego ruchu mówią o literackim krwiożerstwie jego apostołów, nie ulega wątpliwości, że ono objawiało się w postę-

powym obozie tylko względem kilku redaktorów i kilkunastu literatów warszawskich, którzy nie stanowili ani większości grona „starych,” ani ich najpoważniejszego odłamu. Moglibyśmy tu wyliczyć długi szereg pisarzy zachowawczych, którzy najzupełniej stali poza placem walki i których „młodzi” nie traktowali lekceważąco. Zwróćmy tylko uwagę na tak gorąco katolickiego autora, jakim był Bartoszewicz lub Tyszyński, na tak zacnego konserwatystę, jakim z dziennikarzy jest Jenike, których postępowcy szanowali pomimo niezgody w zasadach, że już pominiemy Kraszewskiego, Supińskiego, Lenartowicza i t. d. P. p. Szymanowski, Lewestam, Korotyński, Szczerbowicz—Wieczór i inni, głównie przez młodą prasę ostrzeliwani, nie stanowili ani całości, ani czoła armii konserwatywnej. Od lat kilku ostre wycieczki nawet przeciw nim w poważniejszym kole liberalnem umilkły, gdy nagle dziełko p. Chmielowskiego dało powód do wojny. Tym razem jednak wypowiedziały ją pisma konserwatywne i użyły akurat tej samej taktyki, którą niegdyś krzykliwe zniesławiały w szeregach postępowych. Lekceważenie, tak ganione w przeciwnikach, same podniosły do obelgi, surowość — do potwarzy, a osobistość polemiki — do paszkwili. Nie przeczymy, że tą robotą zajął się szary koniec zachowawczego szeregu, ale ostatecznie wystąpił pod jego znamię. Od pewnego czasu spotykamy w gazetach, zdobiących się trójkolorową kokardą godności, przyzwoitości i sprawiedliwości, tak lekkomyślne, brutalne i krzywdzące wykrzyki, jakich nie spotykaliśmy w najnamietniejszych uniesieniach „prasy młodej.” Polemika zamieniła się na łobuzeryę literacką, na wyprzedz po znizowanej cenie bredni młokosowatych, na wycieranie sobie paskudnych ust nazwiskami ludzi, którzy co najmniej powinni być wol-

ni od napaści baszybuzuków gazeciarskich. Koniki boże, rozbrykawszy się, zapomnieli nawet o ściśle przestrzegającym i zalecanym przez konserwatystów sakramencie użyteczności publicznej, i kopały człowieka, który ma zadośćuczynić jednej z najważniejszych potrzeb naszego narodu. Gdy młoda prasa ogłaszała nadużycia księży, karcono ją argumetem, że podobne wystąpienia, osłabiające katolicyzm, są w „naszem położeniu” niegodziwe; godziwem za to jest teraz nie surowe sądenie, ale szykanowanie i spotwarzanie jednomyślnie wybranego kandydata do katedry historii literatury polskiej, po dziesięcioletniem jej w uniwersytecie opróżnieniu. Tu nie pytano się o „nasze położenie.” Poważnemu badaczowi odmówiono wiedzy, doktorowi filozofii — znajomości elementarnej logiki, a polakowi — przywiązania do kraju. Z zuchwałą bezczelnością zadenuncjowano go podwójnie: przed władzą i przed społeczeństwem. Bo i cóż to byłby za profesor literatury polskiej wobec pierwszej, jeśli nie zna logiki i literatury, a wobec drugiej — jeśli dla tego zganili powieść Sienkiewicza, że jej treść z *naszych* dziejów poczerpnięta? Zaiste, ani do takich potwarzy, ani do takiego nieobywatelstwa nie posunęła się nigdy „młoda prasa” nawet względem tych, których najbardziej przesładowała.

Jak widzimy zatem, odnowienie walki nie przyniosło swoją taktyką zaszczytu pismom konserwatywnym, i to tak dalece, że jedno z nich widocznie spostrzegłszy błąd, przerwało swój w tym kierunku wymierzony i nierostropnie zuchowaty artykuł.

Przepatrzmy teraz wytoczone przeciw żywiołom postępowym dowody. Odmówiono im uzdolnień. Radzibyśmy wiedzieć, jakie to siły dostarczają dziś społeczeństwu najżywniejszego pokarmu. Pomijając pi-

sma liberalne, główne gwiazdy nieba konserwatywnego: p. p. Prus, Sienkiewicz, Ochorowicz i inni — zaświeciły chyba na niem od strony „prasy młodej;“ a gdy „starczy“ profesorowie uniwersytetu chcieli wybrać najgodniejszego kandydata na katedrę historii literatury polskiej, nie znaleźli go wcale w gromadzie geniuszów „starej prasy,“ mimo że arcydzieł p. Szymanowskiego nikt nie zestawiał z takką dla doróżkarczy,“ tak jak on lichoty postępowe zestawia z *Przewodnikiem po Warszawie*. Twierdzenie zaś, że wspomnieni autorowie rozwinieli swe talenty dopiero po zmianie sfery, ma tyleż racji, co przeciwne — że je osłabili, zwłaszcza wobec faktu, że niektórzy z nich tworzyli lepsze płody, gdy byli poza tą sferą, lub marnieją od chwili, gdy ona im prawo do nieśmiertelności puściła w wieczystą i chwilowo jedynie intratną dzierzawę.

Gdyby wierzyć dzisiejszym aktom oskarżenia, należałoby przypuszczać, że postępowcy nasi nie narodzili się „ani z soli, ani z roli, ani z tego, co nas boli;“ że nie wnieśli do społeczeństwa żadnych nowych idei, nie stworzyli żadnego, na istotnych potrzebach narodu opartego stronnictwa, lecz garstkę drapieżnych korsarzów, których jedynym celem było zrabowanie ciężko zapracowanej sławy „starych.“ Zaiste, gdyby szło tylko o zdarcie papierowych koron z kilkunastu literatów warszawskich, szkoda byłoby fatygi, hałasu, walki, ran odniesionych i zadanych. Mimo wszakże, iż dzisiejsi komentatorowie owego ruchu pragną znaczenie postępowej literatury z ostatniego lat dziesiątka sprowadzić do plagi, spadłej na pp. Szymanowskich, Lewestamów i Korotyńskich, sądzimy, że ona miała daleko poważniejszy podkład, że szczepiła idee, które w owym czasie nie przenikały szerzej naszego społeczeństwa, że wreszcie na ogół głęboko oddziaływała. Główną osią walki było nie odebranie propinacyi w Olimpie kilku „starym,“ ale

wprowadzenie do życia ogólnego, do nauki i sztuki nowych zasad.

Po smutnem doświadczeniu ostatniego zbrojnego porywu, pierwsza — przynajmniej w Królestwie Polskiem — „młoda prasa“ zaktęła narodowi inny drogowskaz, — drogowskaz pracy wewnętrznej, cywilizacyjnej, ekonomicznej i umysłowej, jedynie zdolnej nas odrodzić i wskrzesić. Idea ta stała się dziś komunalem, ale wtedy była nietylko nową, ale nawet zuchwałą. Zuchwałą i nową była również inna, idea łączności i solidarności z ludami wchodzącymi w skład słowiańszczyzny, tętniąca obecnie nawet w tych pismach, które ją dawniej odrzucały z oburzeniem. Niemniej znacząco oddziałali „młodzi“ na polu społecznem. Nienukajone pretensje szlachty po uwłaszczeniu włościan odbijały się jedynie w „starej prasie“ echem żalostnej skargi; dopiero „młoda,“ nie tając pewnych wad w przeprowadzeniu reformy, uznała jej użyteczność i powołała ogół do pogodzenia się z tym aktem spóźnionej i nie bezwzględnie pożądanej sprawiedliwości, zwracając jego uwagę na polepszenie doli ludu. Owocem tego było wzmocnienie się prądu demokratycznego, który tak dalece przeniknął do literatury, że większa część jej płodów artystycznych poczerpnęła treść swą z życia ludowego. Być może, iż „młodzi“ nie dokonali wielkich w nauce odkryć; to jednak pewna, że wzbogacili ją szeregiem cennych prac, że spotęgowali do niezwykłych rozmiarów ruch wydawniczy, że wreszcie z nieznaną przedtem stanowczością starali się wyzwolić wiedzę z pod władzy wiary, nadać jej bezwzględną samodzielność, oprzeć na podstawach pozytywnych, że stali się pośrednikami i krzewicielami najnowszej filozofii. Dzięki temu apostołstwu pewne idee filozoficzne pojawiły się po raz pierwszy w naszej literaturze. Nigdy również nie odezwiała się głośniejsz, jak w organach postępowych, potrzeba bezstronnejszej krytyki naszych dzie-

jów, rozwiania szkodliwych złudzeń i pozbycia się nedorzecznego samochwytu, które nas ukoronowało prawdziwą izraelską manią ludu wybranego. Z początku nazywano to „nieposzanowaniem tradycji“ i „kalaniem własnego gniazda.“ powoła jednak zasada nietylko zwyciężyła w teorii, ale nawet wcieliła się szczęśliwie w znakomite dzieła młodych historyków. Nakońiec zalecanie realizmu w sztuce, rozpowszechnienie jej z idealnych mgieł i przybliżenie do życia stanowi także zasługę „młodych“ na polu twórczości. Przecisnąwszy się swym głosem do spraw politycznych i społecznych, do nauki, powieści, teatru — wszędzie oddziałali oni w duchu rzeczywistego odrodzenia. Nie myślimy przeczyć, że pobudki do tego wystąpienia kryły się w poprzedniej dobie naszego życia historycznego, że z zapalem krzewione przez „młodych“ idee zapożyczono od zagranicy, w owej jednak porze były one nowymi i dzielnymi czynnikami postępu.

Surowa nieudolność, która będąc sama bezpłodną, wymaga od zdolności głów jowiszowych, wylęgających Minerwy; próżniacza jałowość, domagająca się od wiedzy samorodztwa, nie uznaje i nie oceni tego pasma zasług, ale znajdują się one w rozwoju narodu, a policzy je i uszanuje każdy, kto rozwój ten gruntownie bada. Zapewne, jeśli siły „młodych“ mierzyć będziemy skalą geniuszów, wydadzą się one nam za małe; jeśli zaś na ich działalność spojrzymy tylko ze stanowiska utarczek z nieprzyjaciółmi, przedstawi się ona nam zbyt marną; ale jeśli do dziesięcioletniego ruchu umysłowości naszej przyłożymy miarę zwykłą i ujmijemy go w poważniejszych rysach, otrzymamy znaczny rezultat a łącznie z nim ten pewnik, że żywioł konserwatywny nie wytworzył w tym okresie nawet przybliżonej przeciwwagi. Ani ilościowo, ani jakościowo prace „starych“ nie wyrównują pracom „młodych.“ Zanim p. Szymanowski pozwoli drwić z 28 rozpraw

ZLI LUDZIE

opowiadanie

JANA LIERA.

1)

Żeby łaskawy czytelnik zrozumiał, z jakich to ważnych powodów walał pan Jandera, swe pięknie wyczyszczone, błyszczące buty, w błocie, na brzegu stawu za Doubrawą, muszę mu zakomunikować tę przyjemną wiadomość, że Doubrawa ma już swoją straż ogniową.

Straż ta liczy siedemnastu statecznych mężów, pomiędzy którymi znajduje się dziewięciu wyższych i niższych komendantów, odznaczających się mundurową ozdobą ze złotych sznurów w dzień „Bożego ciała,“ w odpusty i inne uroczystości doroczne; przy pożarach mniej wybitną korporacyą ta odgrywa rolę.

Najwyższym z tych komendantów, czemś w rodzaju kapitana generalnego, jest pan Jandera, prócz tego — burmistrz, prezes rady szkolnej, naczelnik „rajtechu,“ weteran honorowy, słowem wszystko, czem się stać może taki dygnitarz, przodujący Doubrowie obszarem swych pól, i dobrą tuszą.

Nie można powiedzieć, aby obsypanie p.

Jandery temi i tym podobnemi godnościami sprawiło mu pociechę: poświęcał się on dla dobra ogólnego ze zwyczaju, upodobawszy sobie tylko swój generalny kapitał, połączony z używaniem szyszaka — wprawdzie zapłaconego drogo, ale zdobnego pozłacanym grzebieniem i kitą liści paprykowych.

Dzień, w którym się zaczynają opowiadane przez nas wypadki, zaznaczono w kalendarzu gospód doubrawskich barwą czerwoną; poświęcony on jest bowiem uczczeniu jakiegoś tamtejszego patrona, którego lud obrał za cel pobożnych swych pielgrzymek, a strażacy policzyli w poczet tych wybitnych figur, którym oddają honory wojskowe.

Z tej przyczyny zaniepokoił ich trębacz sztabowy, już od samego rana alarmujący miasteczko wspaniałym sygnałem; snuło się też przez cały dzień w Doubrawie, po rynku i gospodach, siedemnastu strażaków, ozdabiających niezmordowanie wszystkie kąty mieszciny, to w pełnym szyku, to pojedynczo. Z tego powodu nareszcie poccił się pan Jandera *en grande tenue*; ukazywał się wszem wobec i każdemu z osobna, i uznał w popołudniowej porze nagłą konieczność zanieśienia swego podziwu godnego szyszaka na „pustki,“ gdzie przebywała stara Kotyzowa, wielce potrzebująca błogiego widoku p. Jandery.

„Pustki“ nie używają w Doubrawie dobrej opinii; składają się one z dość rozle-

głego bagna, które się ciągnie od brzegu stawu, i ze skał nagich, nieurodzajnych, sterczących nad moczarami. Stanowią własność gminy, która z rzadkim pietyzmem zostawia je, według starego a dobrego zwyczaju, wolnemu zużytkowaniu przez wodników, błędne ogniki i czarownice, których grono ostatnimi czasy powiększyła stara Kotyzowa. Kobieta owa napozór wprawdzie nie czarowała; pędziła jednak żywot nader gorszący.

Pan Jandera znów się dziś o tem przekonał.

Z drugiej strony stawu spoglądały na nią chaty doubrawskie, a spoglądały tak uroczyście, tak polyskiwały swą białością, że się napatrzenie nie było można; z dala odzywało się pukanie moździerza mieskiego, odgłos wszystkich dzwonów i jakiś łoskot rytmiczny, który z bliska mógł być popobnym do muzyki. Jeżeli pan Jandera przypuszczał, że Kotyzowa płonie żądzą ujrzenia rokosznych uroczystości doubrawskich, cierpkiego zaprawde doznał zawodu. Kotyzowa jak najzwyklejszym sposobem wycinała cebulę w swym ogródku, a podniosła oczy dopiero w chwili, gdy usłyszała trzeszczenie płotu, któremu p. Jandera powierzył swą dwucentnarową korpulencję, usiadłszy na nim, jak na koniu, w pozie malowniczej.

— Posłuchajno osobo — rzekł pan Jandera z ojcowską tklivością, mamy dziś niedziele i wielkie święto.

p. Chmielowskiego, niech naprzód porachuje własny inwentarz literacki. To też o ile społeczeństwo nasze dziś się porusza, postępuje, — porusza się i postępuje według rytmu „młodych,” w kierunku ich zasad i ku ich celom; o ile zaś śpi, śpi ukłóysane piosenką „starych,” przerywając drzemkę mechanicznem odmawianiem za nimi pacierza. Nie to nie znaczy, że pierwsi nie stanowią ściśle uorganizowanej „partyi;” nie stanowią jej drudzy, gdyż „partye” nie powstają w działaniu teoretycznem, jakim przeważnie jest nasze, a zresztą sama natura i zasady żywiołów liberalnych, przenikniętych swobodą, wyłączają formację owczego stada lub karnością spojonego szeregu. Mimo rozproszenia i różnic, pierwiastki postępowe utrzymują się w skupieniu siłą zasadniczego powinowactwa, a że ten i ów przyłgnie do konserwatywnego lepu, to innych nie gubi. Jak w łonie ziemi ciała, tak w łonie społeczeństwa umysły istnieją i działają, chociaż nie tworzą jednolitej bryły, lecz tkwią kawałkami lub wchodzą w skład rud obcych. Potrzeba je wytopić, wydzielić i razem złączyć.

„Rzecz dziwna! — powiada ten sam Heine, którego jeden z lekkich kawalerzystów „starej prasy” do świadczenia przeciw „młodej” chciał namówić — zawsze religią, zawsze moralnością, zawsze patriotyzmem liche subiekty ozdabiają swoje napasce. Nie napadają nas z niskiego interesu prywatnego, z zawiści psiarskiej, z wrodzonego służalstwa, lecz dla obrony Boga, dobrych obyczajów i ojczyzny.” Tak było podczas owego dziesięciolecia, tak jest dotąd. Ciągłe *alle schlechten Subjekte* ze strony konserwatywnej pod bardzo przejrystą zasłoną dbałości o religię, moralność i kraj robią podkopy pod obóz postępowy, a złapane i wychłostane kompromitują tych, w imieniu których działają. Nie trudnoby nam było osmagać literackich tatarów za ich ostatni napad; wolimy jednak oszczędzić

czytelnikowi przykrego świstu tej różgi i natomiast przypomnieć konserwatyzmowi polskiemu, że powinien zacząć prowadzić walkę godziwiej, z większym wyborem sił i środków. Żywioł demokratyczno-liberalny stał się w naszym społeczeństwie czynnikiem bardzo poważnym, którego łobuzerya literacka nie pokona i z którym przeciwnicy liczyć się muszą. Złośliwe podkładanie kamyków pod koła biegnącego pociągu, chociażby wykoleiło ten lub ów wagon, kolei nie zniszczy, a nade wszystko nie jest robotą sumienną i uczciwą. Konserwatyzm nasz wyręczając się w najważniejszych sprawach zuchwałą, bo niemającą nic do stracenia drużyną, traci nasz szacunek, którego byśmy pozbyć się nie chcieli, i ani spostrzega, że jej zawiedzione ryzyko opłaca kosztem swego własnego, ciągle uszczuplającego się gruntu — co nas nie boli, ale zakaza literaturę gorszącymi swarami — co nas bardzo boli.

LEOPOLITANA.

XII.

Bohaterem sezonu jest u nas w tej chwili dobry wasz znajomy — docent filozofii we wszechnicy tutejszej, dr. Julian Ochorowicz. Rzeczywiście ubolewać mi dziś przychodzi, że nie jestem lekarzem, ani też fizyologiem z zawodu, i nie mogę przeto wam przesłać wyczerpującego sprawozdania z zajmujących jego odczytów: „o hipnotyzmie i magnetyzmie,” oraz z ciekawych jego na tem polu doświadczeń, wykonanych przez szanownego prelegenta ku zdumieniu najniwieńszych, w tutejszem *kole literackiem*, w sali naszej *almae matris*, wobec grona profesorów i lekarzy, a nakoniec w sali radnej lwowskiego ratusza, na posiedzeniu tutejszego Towarzystwa Lekarskiego. Rzecz w istocie zasługiwałaby na to jak najzupełniej; niestety je-

dnak wasz sługa jest profanem tylko, i może wam służyć opowieścią jedynie o tem, co na własne oczy widział.

Magnetycznych swych zdolności próbował p. Ochorowicz, jak nam to w *kole literackiem* powiedział, poraz pierwszy w Lublinie, będąc jeszcze uczniem tamtejszego gimnazjum; pochoch zaś do tej próby dała mu książka jakaś o magnetyzmie traktująca, która mu wpadła była w rękę. Próba ta powiodła mu się o tyle, iż w wywołanych przez siebie objawach znalazł potwierdzenie tego, co czytał; nie mając jednak podówczas dostatecznego naukowego przygotowania dla przedsięwzięcia samodzielnych badań, zaniechał mały empiryk niebawem dalszych doświadczeń na czas dłuższy. W roku, jeżeli się nie mylę, 1874 ponowił p. Ochorowicz swe próby, które go nawet do poważniejszych miały doprowadzić wyników; nieprowadził jednak aż do tej chwili systematycznego badania, tembardziej, że, jak wiadomo, dotychczasowy stan kwestyi magnetyzmu i hipnotyzmu nie nastroczał szczególnej do badań podnieoty. Nowsze dopiero zdobycze Charcota i Heidenheina, — szczególnie zaś przybycie p. Donato do naszego miasta, skłoniły młodego uczonego do przedsięwzięcia nowych doświadczeń, które się nadspodziewanie udały, i do zdumiewających rzeczywiście doprowadziwszy wyników, powszechne niemal dziś już w naszym lekarskim świecie budzą zajęcie.

Są wprawdzie pomiędzy tutejszymi synami Eskulapa nieliczni zatwardziali sceptycy, którzy protestują — nie przeciw oczywistości wywołanych przez p. Ochorowicza zjawisk, ale przeciw zasadzie, aby człowiek nie będący lekarzem z zawodu oddawał się podobnym doświadczeniom. Powołując się na to, iż akademja paryska przed laty kwestyę magnetyzmu, jako naukowo bezprzedmiotową, ze swego porządku dziennego zepchnęła, i dotychczas jeszcze trwa w swoim uporze, jakoteż i na

Przenikliwie, stalowo-siwe oczy kobiety o postawie wyniosłej, stojącej dumnie przed panem burmistrzem, spoczęły pytająco na obliczu szanownego męża; nazwa „osoba” była wypływem przychylności pana Jandery.

— Wiem, panie burmistrzu, że dziś jest dzień zwany niedzielą. Czy pan sobie czego życzy?

— Tak, życzę sobie, abyście zaniechali swych bezbożnych praktyk, a niedzielę poświęcili odpoczynkiem i rozpamiętywaniem swego grzesznego żywota — mówił pan Jandera, z uczuciem przykrości, że nawet jego wspinały szyszak nie potrafił odwieść Kotyzowej od zwykłego jej lekceważenia innych. Miałem nadzieję, że dziś przynajmniej dogadam się z wami.

— Dziś, jutro, zawsze. Dla mnie jest jeden dzień, jak drugi, a słowa rozumnego zawsze rada posłucham.

— Więc naprawdę nieszanujecie niedzieli ani święta?

— Ja nigdy nie składam rąk za pasem. Kto próżnuje, ten musi zebrać — albo u ludzi albo u swego Boga. Dadzą mu, to dadzą — niedadzą, to niedadzą. Nie zdam się na niczyją łaskę; do takiej nieszczęsności się nie posunę.

— Kobieto, jesteś uparta. Ale przecież nie mówisz tego sama z siebie.

— Nie, mam to od ludzi, od was. Gdyby mi było nie spotkało nieszczęście, pozostalabym głupia i szczęśliwa, jak wy.

— Kto usłyszy od was takie słowa, musi przyznać, że macie spółkę z dyablem. Ja wprawdzie nie wierzę, że czarujecie.

— Czaruję. Spojrz pan naokoło siebie. Z nieurodzajnej skały uczyniłam sad owocowy, a z pustego bagna ogród, dający niezły dochód. Chata powstała pracą mych rąk, któremi żywię uczciwie siebie i córkę. A gdyście z tej pustki zażądali lichwiarskiego czynszu, dałam go wam. Oto są moje cuda. Postawcie tu kogo z was — niech je wymodli; umrze z głodu ze swą pobożnością i rozpamiętywaniem.

Pan Jandera doświadczał tak niemiłego uczucia, że szacowny swój szyszak zwieszał trywialnie z jednego ucha na drugie, jak gdyby ten był zwyczajną szlafmycą.

— Wiecie, Kotyzowa — rzekł nieco podrażniony, dajmy pokój tym rozmowom, znam was dobrze, a zresztą w końcu ustąpicie. Wszystko do czasu. Tymczasem pamiętajcie, że zawdzięczacie wszystko pobłażliwości niebios.

— Te nigdy dla mnie nie były pobłażliwymi. Czy znasz pan moją młodość? — odpowiedziała kobieta, przemawiając ciągle tonem stanowczym, a jednak z zupełnym spokojem. Ja jestem względem nich pobłażliwą — mówiła dalej. Wy gdy popadniecie w nieszczęście, skarżycie się na niebo; gdy wam się dobrze wiedzie, chwalicie je, w strachu drżycie przed niem. Ja wszakże nie znieważam niebios żadnymi niedorzecznościami.

— Jak? — wyrzucił ze siebie pan Jandera. To „jak” było ostrem, jak smagniecie biczem. Wstał, i cały zaczerwieniony sprawiedliwym gniewem, zbliżył się do kobiety:

— Nędzna włóczęgo, czy wiesz, do kogo tak mówisz?

Kotyzowa przysunęła spokojnie ławeczkę, starła ją fartuchem, i chłodnem spojrzeniem wezwała gościa, aby zajął miejsce. (Tout comprendre c'est tout pardonner).

— Niepotrzebnie się gniewacie, panie Jandero. Mnie nie zmienicie. Przyszedł pan do mnie w odwiedziny, a radabym wiedzieć, co pana tu sprowadza?

— Kotyzowa, wybyście potrafili poznać człowieka rozumu — wyjąkał pan Jandera, i usiadł ze skromnością, nieliczącą zupełnie z dostojenstwem doubrawskiego honoratora. A przecież ja przyszedłem do was z serdeczną przyjaźnią, z najuczciwszym zamiarem. Pan Jandera przykładnie zapanował nad sobą.

— Jakiż jest ten zamiar?

— Słuchajcie, kobieto, los zrobił was zatwardziałą. Niechaj to Bóg naprawi, bądźcie sobie, jaką chcecie, tylko nie zapominajcie, że jesteście matką. Nie myślicie nawet, na jaką drogę możecie zaprowadzić swoją córkę. Nie bierzcie jej zguby na swe sumienie, Kotyzowa! Serce każdego dobrego chrześć — hm, hm, każdego dobrego człowieka w Doubrawie zasmuca się losem

to, że fakultet medyczny wiedeński oświadczył się przeciw Hammowi, i przyczynił się do zabronienia mu magnetycznych doświadczeń w obrębie rakuskiej stolicy, a przytaczając wreszcie fakt, że sam Charcot, nie doszedłszy do zadowalających wyników, zaniechał dalszych doświadczeń na tem polu, — utrzymują oni, że magnetyzm jest dla nauki dotychczas *terra incognita*, i że przeto powiedzieć nie można, czy wywoływane przez magnetyzerów zjawiska nie działają szkodliwie na ustrój nerwowy pacjentów? Panowie ci woleliby z tych powodów, ażeby tego rodzaju doświadczenia — jeżeli przedsięwziętymi być mają, wogóle wpierw, nim w tej mierze nauka zdanie swoje wypowie, — czynionemi były zawsze przez newropatologa specjalistę. Jakże bowiem nauka będzie mogła wypowiedzieć swe zdanie, jeżeli sprawy nie zbada? Głupio to wprawdzie, ale za to poważnie! Z punktu widzenia humorystyki dają się przeto zarzuty powyższe scharakteryzować, jako jęk bolesny dyplomowanych rzeźników, zagrożonych w swym przywileju bezkarnego mordowania ludzi przez niedyplomowanego rzeźnika; z punktu widzenia postępu i zdrowego rozsądku jedyną podobno na te protesty odpowiedzią będzie: *Que messieurs les médecins commencent!* — niech panowie lekarze zaczynają! Ale dotąd panowie lekarze nie zaczęli, a p. Ochrowicz zaczął; liczne zaś przedsięwzięte przez niego doświadczenia wykazały całą płonność czynionych mu zarzutów, i narzuciły go nie tylko modzie, lecz co ważniejsza zdobyły mu uznanie wszystkich naszych postępowych lekarzy.

Ogółem wprowadził u nas do tej chwili p. Ochrowicz trzydzieści sześć osób w stan hipnozy i snu magnetycznego; między temi na ostatnim posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego — hysteryczkę, przedstawioną mu po raz pierwszy, którą pomimo jej oporu uspił w przeciągu 4 do 5 minut, i wprowadził w stan katalepsy i znie-

czulenia. Również udało mu się na żądanie ordynujących lekarzy wprowadzić po kilkakrotnie w sen magnetyczny osobę młodą w gorączce leżącą, przyczem zauważono na pacjentce skutki przeciwo-rączkowego działania dłuższego snu magnetycznego — objaw, który bez wątpienia nader cennym jest dla leczenia nabytkiem, zwłaszcza jeżeli go stwierdzą liczniejsze doświadczenia, ku czemu wdzięczne p. Ochrowiczowi otwierają pole nasi lekarze, oddawszy mu obecnie cały tutejszy szpital powszechny, celem doświadczeń, do dyspozycji. Tak tedy Lwów, o ile mi się zdaje, jest dzisiaj jedynym na kuli ziemskiej miejscem, gdzie terapeutyczne zastosowanie magnetyzmu zajmuje najpoważniejsze siły lekarskie.

Doświadczenia, przez p. Ochrowicza na licznych medjach przedsięwzięte, posuwają kwestję objawów magnetycznych znacznie naprzód; stwierdziły one bowiem już wiele faktów dotychczas wątpliwych, jak n. p. zauważaną najprzód przez Lafontaine'a, zupełną nieczułość wprowadzonych w stan magnetyczny pacjentów na silne prądy elektryczne, — jak zupełny brak bólu po obudzeniu u osób, podczas snu magnetycznego lakiem oparzonych, lub zranionych przekłuciem mięśni, — jak możność wywoływania za pomocą magnetycznego prądu tych samych skutków, które wywołują kurara, chloroform, strychnina i tlenek azotowy (czyli gaz rozweselający) i — jak wreszcie nie drażniące wcale, lecz owszem uspakajające działanie wpływów magnetycznych, co jak wiadomo teorii Heidenheina zupełnie się przeciwi. Doświadczeń swoich nie ogłasza p. Ochrowicz; obserwowane bowiem zjawiska dają pochoch do coraz ciekawszych, coraz subtelniejszych spostrzeżeń; chociaż liczba tych objawów jest jeszcze dotychczas niewystarczającą, ażeby na nich oprzeć można stałą jakąś teorię. Względy te nie krępują oczywiście sługi waszego, który przeto — jakkolwiek go nie „smażycie

w smole,“ wszystko wam wypaplać może „co widział w szkole,“ dowolne sobie zarem z tego wysnuwając wnioski.

Pomiędzy osobami, wpływom magnetycznym p. Ochrowicza ulegającymi, odznacza się szczególniejszą wrażliwością słuchacz tutejszej wszechnicy, p. Rauch, młodzieniec może dwudziestodwuletni, nadzwyczaj silnie rozwinięty, chociaż, o ile o tem sądzić mogę, nieco anemiczny. Ponieważ niedawno temu mieliście sposobność widzieć w Warszawie magnetyczne doświadczenia p. Donato, nie będę was więc tutaj trudzić szczegółowym opisem zjawisk, które u p. Raucha wywołuje p. Ochrowicz. Wystarczy podobno, gdy powiem, że młody nasz badacz wprowadza medium swe dowolnie w stan magnetycznego snu, anestezji, hyperestezji, katalepsy i tężca, — że zjawiska te objawiają się u p. Raucha w daleko wyższym stopniu, aniżeli to miało miejsce u panny Lucylli, i że wrażliwość p. Raucha jest tak wielką, iż pan Ochrowicz wywołuje u niego natychmiastowe sparaliżowanie ręki w ruchu będącej, bez uspienia pacjenta, jedynie za pomocą silnego rzutu owej siły, owego — że się tak nienaukowo wyrażę — magnetycznego *fluidum*, którem naszego młodego uczonego obdarzyła przyroda. Zjawisko to, które p. Ochrowicz wywołał po dwakroć wobec licznej a wyborowej publiczności (w auli akademickiej i na posiedzeniu lekarskiego towarzystwa) potrzeba widzieć, aby w oczywistość jego uwierzyć; możność dowolnego wywołowania takiego objawu graniczy bowiem już z tem, co nazywamy cudownością.

Ciekawszemi atoli dla nauki są mojem zdaniem doświadczenia, przez p. Ochrowicza na osobach wpływom magnetycznym ulegających — przy zastosowaniu elektryczności i mineralnego magnesu przedsięwzięte, — te bowiem rzucają nowe, a nieznane, lub przynajmniej zapoznane światło na magnetyzm, i tłumaczą nam poniekąd

biednego dziewczęcia, od którego odpędzacie jego anioła stróża.

Pan Jandera przemógł się już widocznie; mówił porywająco, jak kaznodzieja.

— Moje dziecko jest zdrowe i wesole, dla tego, że dbała o nie jego matka, która sobie nigdy żadnego anioła stróża nie najmowała za niankę.

— Tak, tak, — ale to wychowanie, ta moralność — westchnął pan Jandera z głębi piersi, i wzniósł oczy do góry.

— Panie, odrzekła Kotyzowa szorstko, nie tykaj moralności mej córki! Ja w nią wpoilałam szacunek dla siebie i miłość bliźniego, wlałam w nią samowiedzę i wiarę w prawdę i prawo, ja, pogardzona, zdeptana. Kobieta w rodzaju waszych byłaby ją wychowała w głupim narzekaniu i gniewie bezsilnym, byłaby ją nauczyła nienawiści do ludzi i wzywania u Boga zemsty bez granic. Moja córka nie zna hańby swej matki, ona jest nieskażona.

— Ależ moja duszo, to jest rzecz podrzędna, ja mówię o nauce moralnej, o pobożności.

— Ta znów u mnie jest rzeczą podrzędną. Nauki moralnej posiada ona więcej, niż ktokolwiek z was; ponieważ wszczepiłam w nią tylko samą moralność — bez przymieszki bajek pobożnych, w których tonie wasza.

— Tak — przecież coś. No widzicie, to mię cieszy. Ja muszę dbać o moralność, po-

wiedźcie sami, czy na to jestem burmistrzem, czy nie?

— Myśle.

— Więc tak? Chcę uczynić jeszcze więcej. Lubię waszą Małgorzatę, jest pracowitą, — chcę ją wziąć do służby.

— Abyście ją uczyli po swojemu? Nigdy!

— Nigdy — eh, fraszka! Czegóżbyśmy mieli ją uczyć, przecież, o ile wiemy, dobre daliście jej wychowanie, więc nie potrzebujemy się o nie troszczyć. Powiadacie, że nigdy! Moja złota Kotyzowa — przedstawiał dobroliwie pan Jandera — macie już około lat czterdziestu, wprawdzie to jeszcze nie starość, jesteście jakby z żelaza, niby dąb w lesie; ale baczność! — baczność!... Życie was zniekało, zmęczycie się pracą, a przyjdzie to w jednej chwili... Gdzie się wówczas podzieje wasza córka, której nikt nie zna? Czy nie lepiej by było zawczasu pomyśleć o tem, gdzieby mogła znaleźć przytułek?

Kotyzowa się zamyśliła.

W dali huknęły kilkakrotnie moździerze, zaczęto bić we wszystkie dzwony. Czyżby przyszli do miasteczka nowi pątnicy, nieznający jeszcze szyszaka pana Jandery?

— No cóż? — pytał mąż wybrany, słuchając jednym uchem dźwięków, które płynęły od strony miasteczka, drugim zwracając się ku Kotyzowej.

— Nie mogę się spieszyć z decyzją.

Bądź pan cierpliwy, a tymczasem przyjmij podziękowanie za dobrą wolę.

— A na cóż tu wahanie? — rzekł niecierpliwie pan Jandera.

Tymczasem wzmógł się rytmiczny łoskot w miasteczku: burmistrz wyprostował nagle swą figurę i pomruknął:

— Widocznie jakieś nowe procesy!

— Zresztą, jak chcecie! — kończył mąż, którego wyższe obowiązki wzywały nieodwołalnie na forum doubrowskie, i oddalił się — z pośpiechem, wielce pocieszającym u ludzi dotkniętych podagrą.

Kotyzowa ścisnęła spojrzeniem odchodzącego i stała tak czas jakiś, przeciw swemu zwyczajowi — z rękami założonemi za pas.

Ludzie dręczyli ją nieustannie wszelkimi sposobami, a ona opierała się niekczemnej złości, wzniosłszy dumnie swą głowę nad niską gawiedź, jak skała granitowa.

Teraz znów przyszedł jeden z najdawniejszych jej przeciwników: ukrył on w sobie złość, zbliżył się do niej ze złudnemi obietnicami i słowem pokoju, a sięgnął prosto do wnętrza jej świątyni, do serca obumarłego dla każdej miłości a bijącego całą siłą tylko... dla dziecka.

Intrygi, które gardziła, skierowane były tym razem przeciw jej córce! Kotyzową ogarnął smutek, poraz pierwszy od lat wielu.

Przełożył z czeskiego

S. Tomaszewski.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

jego istotę. Do rzędu tych doświadczeń zaliczam:

1) wywołanie utraty mowy i zdolności myślenia przez działania słabych prądów indukcyjnych, przebiegających po drucie okręcanym na około głowy pacjenta, i wogóle możność bezpośredniego działania na funkcje psychiczne za pomocą elektryczności — bez usypiania;

2) tężec w ręce, wywołany również pod wpływem prądów indukcyjnych lub stałych, okrążających rękę drutem izolowanym;

3) działanie przyciągające na kończyny snem magnetycznym uspionego medium, wywołane za pomocą magnesu, bursztynu, srebra, kryształu górskiego i innych metalicznych i niemetalicznych ciał;

4) wywołanie snu magnetycznego przez zbliżenie silnego magnesu do głowy osoby, śpiącej snem zwyczajnym;

5) znieczulenie palca za pomocą mineralnego magnesu, bez uspiania pacjenta, bez użycia środków chemicznych i bez dotykania. Ciekawego tego, a dla chirurgii nadzwyczaj ważnego zjawiska doświadczył na własnej osobie piszący te słowa kilka razy.

Opierając się na tych zjawiskach, które licznymi stwierdził doświadczeniami, a które jak widzimy rehabilitują poniekąd niesłusznie spotwarzanego Mesmera, zbija p. Ochorowicz znaną teorię Heidenheina, jakoby objawy magnetyczne identycznym były z hipnozą zjawiskiem, i twierdzi, iż stan magnetyczny jest owszem fenomenem nierównie zawilszym, w którego wywołaniu udział biorą słabe prądy elektryczne, spowodowane bądź to zastosowaniem ciał, własności elektryczne posiadających, bądź też zastosowaniem t. z. zwierzęcego magnetyzmu, który znowu tłumaczy się w części słabymi elektrycznymi prądami, powstającymi przy kureczeniu mięśni, jak to pierwszy naukowo stwierdził Du Bois Reymond. Słuszności tej teorii, która jak pojmujecie, kwestyę magnetyzmu w nową wprowadza fazę, dowodzi p. Ochorowicz nowem zupełnie, o ile wiem, doświadczeniem, a mianowicie magnetyzowaniem w odwrotnym kierunku, wprowadzając w znieczulenie i tężec, najprzód dolne, potem górne kończyny swego medium, i sprowadzając sen magnetyczny skutkiem ostatecznego działania na mózg pacjenta — proceder, którego zastosowanie nie byłoby oczywiście możliwem, gdyby hipnoza i stan magnetyczny identycznym były zjawiskiem.

Doświadczenia p. Ochorowicza przynoszą więc, jak z tego widzimy, nauce korzyść rzetelną; — nie mniej da się już dziś w przybliżeniu obliczyć doniosłość ich praktyczna dla rozwoju lecznictwa. Jeżeli bowiem słuszną jest zasada Hammanna, która coraz większe sobie w świecie lekarskim zdobywa uznanie, że *similia similibus curantur*, to tem samem słuszną jest i zasada, broniona przez p. Ochorowicza, że przez sztuczne i częste wywoływanie zjawisk pewnych, jak drgawki, kurcze, katalapsy, padaczka i t. d. rośnie stopniowo łatwość umyślnego wywoływania tych objawów, lecz słabnie zarazem możność samoistnego ich powstawania. Widzicie stąd, jak ważne mogłoby lecznictwu oddać usługi magnetyzm na takie popchnięty tory, gdyby się

ziomkowi naszemu powiodło stwierdzić naukowo powyższą zasadę.

Junius.

ZJAZD PEDAGOGICZNY.

Kraków, 25 lipca 1881 r.

Kto miał sposobność zbliżka, nie przez szkiełka narodowego optymizmu lub ciasných pojęć, lecz bezstronnie, trzeźwymi oczyma przypatrzeć się Krakowowi, ten przyznać musi, iż zasypia on obecnie snem błogosławionych... Czy weźmiemy pod rozwagę ruch jego umysłowy, czy polityczny, czy choćby przemysłowy, gdy uprzytomnimy sobie jednocześnie budzące się życie w innych dzielnicach Polski, — zawsze wyciągniemy jeden i ten sam wniosek: Kraków śpi. A stan ten nie jest *hipnotycznej* natury, chwilowy — datuje się on już od dawna. Gdy bowiem słynny bohater z pod Solferino, z braku innych środków, zaczął preparować masę konstytucyjną dla uśmierzenia bólów różnorodnych częstek swego imperyum, — wówczas to jeszcze Kraków powiedział sobie: dość mam już wszystkiego! — i syt chwały wyciągnął się swobodnie na ziemi, usnął, i śpi aż dotąd, ogrzewany słońcem c. k. konstytucji. Sen jego jest przedziwnie błogi, spokojny i bezpieczny: c. k. policja przy pomocy stańczyków bacznie ogania muchy, siadające mu na nosie, zoldak z nabitym *giwerem* u boku uprzejmie dmucha w kaszę, żyd z możliwą starannością oczyszcza z okrucich kieszenie, a éma spasionych ojców śpiewa antfony, kropi wodą święconą i żegna egzorcyzmami. Śpi też Kraków, jak zabity... Czasem tylko chrapnie głośniejsze, westchnie, kichnie lub splunie...

Jeden właśnie z takich wyjątkowych objawów żywotności Krakowa zanotować nam dzisiaj wypada. Ciche, nudne i puste miasto od 17 b. m. roi się tysiącami przybyszów. Są to pedagodzy, lekarze i przyrodnicy. Pierwsi, o których mówić będziemy na tem miejscu, przybyli naradzić się wspólnie nad dalszem wychowaniem obywateli przyszłości t. j. ludu prostego, a tem samem polepszyć moralny i materialny byt kraju. To cel główny zjazdu, cel szlachetny, zasługujący na baczność i poparcie. Czy zjazd uczynił zadość temu — nie chcemy stanowczo twierdzić ani tak, ani owak. Dość na tem, że zjazd się odbył, a ja winienem wam sprawozdanie.

Zjazd pedagogiczny trwał trzy dni. 17 b. m. o god. 3-iej po południu ustrojony w zielon pociąg galicyjski przywiozł nam gości w liczbie około 100 (w zjeździe wzięło udział ogółem 1.500 osób). Na dworcu kolejowym p. Sawczyński, prezes Towarzystwa pedagog. powitany został krótką przemową przez dr. Weigla, prezydenta miasta, na co p. Sawczyński odpowiedział jeszcze krócej. „Czem chata bogata“ i t. d. — rzekł jeden; „Skorośmy w Krakowie, już nam dobrze“ — odrzekł drugi. Później nieomieszkało krzyknąć sobie wzajem: „niech żyje prezes!“ „niech żyje prezydent!“

Posiedzeń zjazdu było trzy. Odbywały się (18-go, 19-go i 20-go b. m.) codziennie w godzinach rannych, między 8-ą a 10-ą, w amfiteatrze gimnazjum św. Anny. Na pierwsze przybył p. Weigel z wice-prezydentem Muczkowskim (obadwaj domyślacie się — w złotych butach i słuckich pasach), i powitał zebranych. Wspomniał p. prezydent o ludziach zasłużonych Towarzystwu, pokreślił węża i wyraził radość z tak liczego zgromadzenia. Po prezydencie zabrał głos p. Sawczyński. Zwrócił przedewszystkiem uwagę na to, że członkowie zgromadzenia nieprzyjechali tutaj — jak wielu mniema — bawić się, lecz pracować. Zresztą — dodał — nauczyciele ludowi, moźolnie rok cały pracujący, mogą

mieć prawo i do rozrywki. Niechże nią będzie wzajemna wymiana myśli i „gawęda z kamieniami Krakowa...“ Przemówienie to rzeczywiście było bardzo ładne i gorące. A choćby i niem nie było, klaskaliby biedni nauczyciele, ponieważ mówił członek Rady Szkolnej krajowej, dyrektor gimnazjum, prezes zjazdu Towarzystwa etc. etc. Tu muszę podzielić się z wami pewnem małym spostrzeżeniem. Czemże to sobie wytłumaczyć, że na obradach, bez względu na to, czy kto przemawiał *za*, czy *przeciw*, sypano mu powszechne brawo? Niemniej i to jeszcze godne uwagi, że dwaj całkiem przeciwni sobie mówcy dostawali oklaski od jednych i tych samych słuchaczy. Smutne to daje wyobrażenie o stanie umysłowym pp. światłodawców, do czego również przyłączyć wypada, że wielu najlepszych mówców (pożal się Boże, jaka to była elokwencya) wykazało się zupełnym brakiem znajomości najpierwszych prawideł gramatyki.

Po p. Sawczyńskim powstał p. Stawarski, i skreślił historię sali amfiteatralnej w gimnazjum św. Anny, sali zbudowanej przed 250 laty, zdobnej portretami Nowodworskiego, założyciela szkoły, króla Jana III, Kościuszki i t. p. Tu ogłoszono niegdyś konstytucję Krakowa, tu przyjmowano monarchów i znakomitych gości, tu miał odczyt filozof nasz, Bronisław Trentowski i t. d.

Po p. Stawarskim wita zgromadzonych p. Jabłoński, przewodniczący zarządowi oddziałowemu krak., poczem powołuje się sekretarzy, postanawia wziąć udział w jubileuszu Majera, honor. członka Tow., składa się życzenia p. Bociańskiemu, który niedawno obchodził uroczystą rocznicę 50-letniej pracy swej na polu nauczycielstwa ludowego, wybiera się komisję lustracyjną do zbadania funduszu Tow. i t. p. Czynności te przedwstępne powtarzają się przed każdym posiedzeniem. Odczytywano tu nadsyłane z różnych stron telegramy, odpisywano na nie, wybierano członków honorowych. Na prośbę Rady gminnej w Kołomyi, Towarzystwo postanowiło odbyć tam zjazd swój następny. Do nieodzownych, z góry przewidzianych czynności, wiecu należy jeszcze zatwierdzenie budżetu na rok przyszły, oraz wybór prezesa, wice-prezesa i członków zarządu głównego. Pierwszym został nadal p. Zygm. Sawczyński, drugim prof. Gerstman. Do zarządu zaś weszli między innymi: dr. Sawicki, Zajackowski Alfred i Samolewicz.

Odczytów treści pedagogicznej było dwa. Pan Żuliński mówił: „Czy, i o ile należy żądać ograniczenia lub zmiany planu nauk przyrodniczych dla szkół ludowych.“ Prelegent stawiał wnioski dość słuszne, ale nie umiał wykładu ująć w jakikolwiek systemat, i objaśniał się z wielką trudnością. Za to wykład prof. J. Harwota — „Pracownia szkolna ze stanowiska ekonomii społecznej“ — był bardzo zajmujący. Prelegent twierdził, że Montalambert niesłusznie nazwał nas narodem w żałobie, bo nam właściwiej należy się tytuł „narodu nędzarzy.“ Gdziekolwiek rzuciś okiem, czy na wieś, czy na miasto — wszędzie ogromna nędza, wskutek czego — upadek sił fizycznych, moralnych i niepowседневna śmiertelność. Dalej dowodzi logicznie p. Harwot, że czeka nas katastrofa, jeśli dalej rzeczy pójdą takim trybem. Przyczynę takiego upadku widzi rzecznicz nie w różnych klęskach, nie w podatках wysokich i loteryi liczbowej, ale w tem, że za mało i źle pracujemy, i nie nie oszczędzamy. Środkiem zaradczym może tu tylko być działanie z dołu, z gruntu, środkami wychowawczymi. Zdanie, że „szkoła jest podstawą materialnego bytu społeczeństwa“, popiera prelegent cytatami z najpierwszych mędrców i myślicieli. Działanie to z dołu zasadza p. H. na urzędzeniu szkolnych kas oszczędności i pracowni. Pierwsza najlepiej naucza nas oszczędności, druga bezustannej pracy. Projekt

ten rozbiera prelegent ze stanowiska psychologiczno-pedagogicznego, i wieńczy w końcu swą rzecz odpowiednim zdaniem wynikiem.

Resztę czynności zjazdu wypełnia: traktujące o wydawnictwach Towarzystwa, sprawozdanie p. Benoniego, z którego dowiadujemy się, że w roku ubiegłym znacznie upadł popyt na artykuły dla szkół ludowych; a nadto sprawozdanie z prac (nie nigdy nierobiącej) „ankiety szkolnej.“ Z relacji tej mamy do zapisania rzecz nader śmieszną. Oto p. Baranowski obstaje za uchwałą, aby wyjście za mąż nauczycielki stanowiło koniec jej publicznego zawodu. Ciekawym bardzo, kto może lepiej spełniać obowiązki nauczycielki: kobieta niezamężna, czy *matka*? Wszakże doświadczenie, którego z wiekiem nabywamy, pożądane jest w zawodzie pedagogicznym, a związki małżeńskie nie zabezpieczają jeszcze od wykołajenia na całą przyszłość. Jeżeli zresztą idzie o to, aby zajęcia domowe nie przeszkadzały publicznym, nieodręczy będzie pomyśleć, że nie tylko zamężna kobieta obowiązkom rodzinnym gorliwie oddawać się może...

Z odczytanego następnie sprawozdania „o wnioskach zarządów oddziałowych i pojedynczych członków“—wypada nam zanotować fakt nader charakterystyczny. Gdy p. Lewicki ogłosił, że tylko dwa wnioski będą przedstawione (resztę podobno nadesłano zapóźno), wstaje p. Szeliga i powiada, że ciągle one są odkładane (chodziło tu o poproszenie nauczylskiego bytu, co—niewiadomo dla czego—niepodoba się p. Sawczyńskiemu, a z nim *zarządowi*), a o memoryale jak nie słyhać nie, tak niesłyhać—czemu znów przeczy p. Tatomir. Wybrać więc musiano komisję do sprawdzenia. I słusznie. Następnego dnia ze sprawozdania komisji tej dowiedzieliśmy się, że memoryał, dostateczny w głównych punktach, wymaga jednak znacznego uzupełnienia. Oddział np. husiatyńsko-trębowelski przedstawia bardzo interesujące i ważne obliczenie: „ile potrzebuje nauczyciel żonaty, ojciec jednego tylko dziecka, aby mógł żyć?“ Otóż minimum 455 złr., gdy więc dzisiaj pobiera 300 złr., brakuje mu—bagateli—155 złr.! Wniosek ten przeto, jak i inne, postanowiono wciągnąć do memoryału, uzupełnić, i wybrano *ad hoc* komisję ze swego łona—mimo wyraźnej niechęci wielu, czego dowiodła żywa, gorąca dyskusja.

Już to w ciągu całego zjazdu zauważyliśmy, że p. Sawczyński i ogon jego—Zarząd Główny—postępowali niewłaściwie i nieformalnie. P.S. wyrażając się grzecznie, nadużywał swej prezesowskiej powagi. Co np. znaczyło despotyczne zamykanie dyskusji, gdy chodziło o głosowanie nad wnioskiem p. Żulińskiego? Co znaczyło wszechwładne *niepozwalam*, gdy p. Starzecki w pięknej swej przemowie ujął się za honorem nauczycieli szkół ludowych, maltretowanych przez *szkoły średnie* (sic)? Co znaczyło „zgromienie“ go wobec przeszło 1,500 osób? Dla czego Zarząd odrzuca lekomyślnie wnioski nader doniosłe, np. p. Goldberga—„o działaniu przeciwko pokątnym chajderom, wniosek podpisany przez 20-stu członków? Prezydujący winien wiedzieć o tem, że mu nie wolno być stronnictwem, że powinien dbać o dobro Towarzystwa i być mu ojcem, nie ojczymem, co między innymi uwidoczniło się przy elekcji prezesa i t. p. Wielu członkom niepodobala się ułożona przez sam Zarząd (sic!) lista wyborców; nikt się jednak z przeciwnym mniemaniem nie odezwał, bano się oponować, a szkoda! Towarzystwo bowiem, jeśli chce kroczyć po drodze postępu, nie pójdzie dalej, dopóki c. k. Rada Krajowa będzie mu wisiała u piersi...

Po zamknięciu zjazdu przez p. Sawczyńskiego, krótką przemową (pokonał t. p. S. oponentów swą linią profesorską), tegoż dnia wieczorem nastąpiła wspólna uczta pożegna-

na pod werendą browaru p. Johna. Dostoiów zasiadło przeszło 1,500 osób. Że pito i wnoszono toasty—zbytecznem byłoby mówić. Najlepiej przemawiał p. Sawczyński. Popisywał się również zręczną elokwencją p. Baranowski, oraz p. Goldberg przemawiający w imieniu żydów na podziękowanie narodowi polskiemu. Szkoda jednak, że temu inowiercy dość niegrzecznie przerwano oracyę danym muzyce sygnałem. To samo spotkało i innych. Rodzi się więc mimowolne pytanie, czy tylko prawowierni i ludzie w biretach doktorskich na głowie, mają prawo głosu? *A propos* biretów doktorskich, pozwólcie mi jeszcze słowo powiedzieć. W obradach wiecu pedagogicznego, który bądź co bądź ważne ma przed sobą cele, na 100 przeszło profesorów gimnazjalnych, wzięło udział trzech tylko, z uniwersyteckich zaś—jeden! Zostawiam to bez komentarza.

Nakoniec drobna uwaga. Zjazd rozpoczął swe obrady nabożeństwem, sprowadził sobie błogosławieństwo papieskie a zakończył toastem „na cześć religii i kościoła.“ Pomijając to dziwne nabożeństwo ludzi, którzy mogli być wymodlić się w domu, a na jeździe zając się pedagogiką, nie bywałam nawet w ortodoksyjnych rocznikach jest „toast na cześć religii i kościoła.“ Pierwszy to chyba raz pito zdrowie Boga. Klerykalizm sz. pedagogów w zaciętrzeniu swoim zapomniał, że ubliża kieliszkiem tej samej idei, której chciał cześć złożyć. Coby na ten „toast“ powiedział Chrystus? Sądźmy, że jeżeli nauczyciele ludowi piją za zdrowie „religii“, to niedługo i kształcony przez nich chłopiek zacznie a przynajmniej może się upijać także „na cześć religii.“ Dzikie a nasze!

Prawdziwie.

„Cztery prądy ducha.“

(„Les quatre vents de l'esprit“).

Taki tytuł noszą dwa grube tomy najnowszych poezji Wiktora Hugo. Ukazały się one na początku czerwca, a znane są już w 18 wydaniach, z których każde liczy po 30,000 egzemplarzy. Poeta, który za życia dostąpił wszelkich możliwych zaszczytów, któremu dzisiaj cała Francja zsypuje pełnemi garściami złoto, aby mu wystawić pomnik, odpowiadający uwielbieniu narodowemu, ma ten wielki przywilej, że słowa jego są chwytane nie tylko we Francji, ale i w całym świecie ucywilizowanym. Co jest przyczyną tego zapału? Czy rzeczywiście Hugo, jak twierdzi jeden z bardzo poważnych krytyków francuskich, jest najwyższym wcieleniem się geniusza, syntezą Szekspira, Goethego i Byrona? Pomimo najlepszych naszych dla mistrza usposobień, na twierdzenie podobne nigdy się nie zgodzimy.

Zródła zapału, jakim go otaczają, trzeba szukać gdzieindziej. Poeeci prawdziwi, prawdziwi prorocy przyszłości, duchy, które odbijają w sobie charakter wieków całych, bywają albo narodowi, jeśli po za potrzeby swojego ludu nie wychodzą, albo poeci ludzkości, jeśli gieniuszem swym nowe a przystępne dla całego świata zdolni są wskazać drogi. Tych ostatnich nie wiele naliczmy: Szekspir, który pierwszy wskazał na człowieka, jako na prawdziwy mikrokosmos i badać go polecił, Byron, który odbił w sobie cały sceptycyzm i zwątpienie początku naszego wieku, Goethe, który bieżące zagadki ludzkości rozwinął na tle antycznego arcyzmu, i dwa odległe a obce sobie światy siłą gieniuszu swego połączył, Mickiewicz wszecze, który poszanowanie dla tradycji z najnowszymi zdobyczami ducha ludzkiego związawszy, wytworzył ideał nowych społeczeństw na miłość oparty—oto wszyscy chyba mistrze słowa, którzy na wieki gieniuszami pozostaną.

Bogactwo idei, złączone z wykonaniem artystycznej formy, robi z nich gwiazdy pierwszej wielkości, do których ludzkość zawsze zwracać się będzie. Obok nich—rozsiane mnóstwo innych, mniejszych konstelacji, które bądź własnem, ale już skromniejszym światłem błyszcza, bądź blaski swe od słońce wymienionych uzyskują. Francuzi w przeszłości swej gwiazd tego rodzaju nie mają. Natura ich żywa, krewka, a zarazem praktyczna, nie zdolna wytrwać w kontemplacji—przekłada zawsze czyn nad marzenie. Poeeci ich najwybitniejsi nieraz wśród świata całego znajdowali naśladowców, ale naród szedł za nimi nie przez hold dla wielkości idei, ale modę za króla swego ogłosiwszy, składał tem samem w różnych epokach najwymowniejszy dowód czczości swego umysłu.

Pomiędzy poetami Francji Wiktora Hugo zapewne do największych zaliczyć należy; nie dziwimy się więc bynajmniej, że Francuzi tak przesadną cześć mu oddają. Że świat cały także ciekawe ucho na każde jego słowo zwraca, nie dziwi nas to wcale; w dzisiejszej bowiem epoce czuć się daje ogólne zaniedbanie poezji, a Wiktor Hugo jest niezawodnie najpotężniejszym jej przedstawicielem współczesnym. Czy jednak można go zaliczyć do owego malarza szeregu gieniuszów? Nigdy. Hugo nie nam nie przynosi nowego; on tylko stanowiący przy silnie dziś roznamietniającej republikańskiej nucie, działa na rozburzone namiętności i schlebia doktrynerom politycznym. W obszernej dziedzinie twórczości swojej poruszył wiele drażliwych kwestyj społecznych, żadnej wszakże nie rozwiązał,—a wskazał na nie z równą siłą, jak i średniej miary powieściopisarze. Gdyby był współczesnym Dantona i Robespiera, i gdyby w ognistym swym języku podniósł słowem to, co oni popierali czynem,—zasługa jego byłaby inna. Wobec dzisiejszych warunków zacięłość czyni go bardziej oportunistą, niż reformatorem. Jako sztukmistrz, nie przyniósł on także bardzo wielkich dla poezji zdobyczy.

Skrajny i wybujały romantyzm uderzał już niesmakiem w produkeyach Hoffmana lub Jean Paula, — w epoce zaś twórczości Wiktora Hugo stał się potwornym anachronizmem, który niemiłe razi szukające jasności i prawdy umysły. Wynikający z romantyzmu owego kontrast jaskrawością swą oślepił czasami czytelnika, ale zdrowego ziarna treści mu nie dawał. Jeśli weźmiemy przed siebie dramatyczne na przykład utwory poety, przekonamy się łatwo, że takie kreacje, jak *Ruy Blas*, *Hernani*, *Didier* i t. d. pochodzą z epoki Byrona, i nie stanowiąc wcale charakterów ludzkich, są sztucznymi halucynacjami imaginacji. Zachodzi oprócz tego jeszcze inna okoliczność. Hugo w wielkość własną sam mocno wierzył, a choć krytyka francuska bardzo łaskawie z nim się obchodziła, wymarzył sobie, że każda wielkość cierpieć musi, a skoro cierpienie rzeczywistych brakło, wyroił je i stworzył, a namiętna jego natura, znajdując żywioł w przekleństwach i miotaniu obelg, rozkoszowała się w tym hałaśliwym rozgwarze. Niebawem do cierpienia urojonych przybyły i rzeczywiste. Poeta wstąpił na drogę polityczną, a wypadki zewnętrzne nie pozwoliły mu kończyć rozpoczętej kariery. Obowiązków patriotycznych nie wypełnił jak należało, nie naraził się na równi z innymi, i chociaż znalazł się na wygnaniu, nie było ono mu wszakże tak ciężkie, jak innym. Sama ta wszakże okoliczność, że mógł powiedzieć: *je suis exilé, je suis proscrit*—już mu wystarczała. Pomimo całego uznania dla przekonań jego politycznych, sądząc rzeczy z artystycznego punktu widzenia, utwory takie, jak: *Napoleon le petit*, albo *Histoire d'un crime*—uważać można tylko za pamflety polityczne; ostatnie zaś, wierszowane jego utwory, do których należą i *Cztery prądy ducha* (Qua-

tre vents de l'esprit) różnią się od owych tendencyjnych płodów jedynie świetną, pełną ognia i siły formą mowy związanej. Wiktor Hugo jest wyłącznie lirycznym, a liryzm jego nie w uczuciu tęsknoty lub żalu, lecz w wyuzdanej rozlewie się namiętności. Jakikolwiek jest punkt wyjścia, z którego on, tworząc, wychodzi, zawsze do owego *ja* na końcu powraca. Dzisiaj nie tylko we Francji, ale i w świecie całym namiętności polityczne w imię zasad ścierają się silnie; stąd dziwna sprzeczność w sądach o poecie. Chociaż więc Hugo jest u nas więcej może od innych francuskich poetów znany, ale krążące o nim zdania tak są jeszcze nie wyrobione, że tej charakterystyki ogólnej nie uważamy wcale za zbytęzną.

We Francji samej zdania o ostatnim utworze poety są jak najrozmaitsze. Jedni utrzymują, że *Cztery prądy ducha* są najwyższym szczytem poety, do jakiej się wnieść może gieniusz ludzki; inni twierdzą, że jestto dowód ostatecznego upadku zgłupiałego starca.

Bądź co bądź, żadną miarą nie zgodzimy się na to, żeby choć najmniejszy ślad zniechęcenia sił umysłowych spotkać tu było można. Przeciwnie — tyle tu energii, tyle mocy, tyle namiętności, że raczej chyba zapal młodzieńczy, niż zgrzybiała starość autorowi przypisać by wypadało.

„Quatre vents de l'esprit“ dzieli się na cztery księgi: satyryczną, dramatyczną, liryczną i epiczną. Z wyjątkiem dramatycznej, trzy pozostałe zdążają do jednego i tego samego celu — bronią jednej tezy politycznej:

Vous me faites horreur!

Croulez monstre, pape, et toi, monstre empereur!

Oto oś, około której wszystkie przekonania i cała dyalektyka się obraca. Część epiczna, zatytułowana ogólnie *la revolution*, a złożona z pojedynczych rozdziałów — *les statues* — nie nosi na sobie bynajmniej cech, charakteryzujących ten rodzaj poezji. Nietylko bowiem, że poeta nie może się zdobyć na niezbędną w eposie spokoj i obiektywizm, ale nadto krótkie te rozdziały nie mają żadnej treści powieściowej. Hugo po kolei przechodzi królów francuskich, i każdemu z nich wymyśla nie przebierając w słowach: „Despoci, powiada, wy życie i pożeracie świat — wy macie swoje Pompadury, Dyany i Rozamundy — śmiejecie się i rządźcie. Wszystkie czoła kłonią się przed wami, a kraj zhańbiony drży pod waszą stopą. Cały wasz wiek to jedna straszna, czarna plama w historii.“ Cała epika *Czterech prądów* jest trzymana stale w tym samym mniej więcej tonie; łatwo więc zrozumie czytelnik, że oprócz nazwy, żadnego żywiołu epicznego tu nie ma. Podobnie satyra Wiktora Hugo nie czyni zadość wymaganiom, nieodłącznym od tego rodzaju poezji. Poeta nie przedstawia tu, na wzór np. Jawenala, wstrętnych obrazów społeczeństwa; podaje on tylko własne rozumowania, wytykając niby ludzkości drogę do szczęścia, i palcem wskazuje na instytucje, które obalić należy. Księga satyryczna jest zbudowana według wzoru znanych *les chatiments*. Jak epeja, tak i satyra Wiktora Hugo nie jest niczem więcej, jak polityczną liryką, gdzie poeta własne swe marzenia i własne namiętności wypowiada. Różnica jedyna tych dwóch ksiąg od lirycznej, polega na tem, że w ostatniej Hugo tworzy drobne obrazki poetyczne, czyli tak zwane *chansons*, ujęte w rytm, zmieniające ciągle miarę, podczas gdy w dwu poprzednich stale wiersz trzynastozgłoskowy panuje. Księga liryczna, jasniejąca niesłychanym bogactwem mowy, kunsztownością wrotek i rymów, dowodzi, że natchniony artysta nawet z języka tak niepodatnego dla poezji, jak francuski, stwarzać może prawdziwe arcydzieła formy. Dwie księgi pozostałe, a głównie satyryczna, odznaczają się natomiast bogactwem myśli. Nie rzadko natrafiamy tu

na słowa prawdziwego patryotyzmu i gorącej żądzy odwrócenia ziomków od przepaści, ku której zmierzają. Najpiękniejszym pomiędzy niemi jest wiersz, który przytoczony przez nas w prozaicznym przekładzie, traci niezawodnie połowę co najmniej swego wdzięku. Nie kuszając się wszakże o rymowane próby, podajemy go tu w tłumaczeniu niemal dosłownem; niech czytelnik w wyobraźni swojej sam w melodyę poezji go ustroi.

„Trzeba działać, trzeba iść naprzód, i trzeba chcieć szczerze. Marzyć bowiem, jak turek, drzeć niedołącznie, błędnie po wioskach i lasach, hasać na balach, całować dziewczyny — to nie doprowadzi nas wcale do ocalenia ojczyzny, do odzyskania praw naszych, do podniesienia czoła w górę i wynalezienia środka na nasze cierpienia. Mamy łańcuch na szyi, a kwiaty na głowie. Marzymy o złotym wieku stanu zwierzęcego, gdzie jedynym celem było rozmnażanie się. Silimy się na dowiec i młodość, a jesteśmy tylko płaskimi. Oh! ileż tu nieszczęść, podłości, wyuzdania i rozpusty! Pamiętajmy, że śmierć kraju idzie za uspieniem serca, że lud cały upada z upadkiem jednostki! Obowiązek — to Bóg, który nie znosi ateuszów! Powtarzam wam bez ustanku, że święta nasza ojczyzna spoliczkowana, że jestto pora na walkę, nie na zabawę. Rozbudźcie się — bo ojczyzna kona, i w rozdzierających serce swych krzykach domaga się Brutusów, a nie sybarytów. Trzeba jej postaci surowych a dumnych, trzeba ramion umiających ująć miecz, nie zaś wieńczyć się kwiatami. I oto, dlaczego ja, złamany latami, na placu publicznym, wśród ciżby przechodniów, w obliczu słońca jasnego, które nas oświeca, rzucam wam mą zgrzybiałą duszę i mój gniew odwieczny!“

Również znakomitymi rysami skreślony jest stan dzisiejszego upadku społecznego — stan „gdzie jedynym celem stała się pomyślność zamiarów, gdzie powodzenie jest wszechwładnym sułtanem, a zbrodnia jego wezyrem.“

Środkiem do odrodzenia i szczęścia ludzkości jest obalenie wszystkiego, co swobodę jej krępuje, a następnie oświata. Era walki powinna niebawem się skończyć — ogólne przebaczenie powinno uregulować wszelkie nienawiści. Poeta potępiając zaciętą zemstę i nienawiść, wyraża się tak w swoim barwnym języku: „Gdyby Jezus, uwolniwszy się z Kalwarii, wrócił, i chciał z kolei krzyżować szatana, — powiedziałbym mu: — nie jesteś Bogiem — idź precz!“ Jednakże, mimo tej zasady, przebaczenie, tolerancja nie powoduje bynajmniej wieszczom francuskim. W wierszu zatytułowanym: *Un nomme Segur* — nienawiść ku duchowieństwu przybiera barwę wstrętnej polemiki; poeta zresztą przyznaje się otwarcie, że uczucie to nieodłącznym jest od jego duszy. Kiedy Muza widząc go idącego na pogrom świata, zapytuje, w jaką broń na tę ciężką wędrówkę się zaopatrzył, on jej na to odpowiada: „Muza, mam nienawiść złego i miłość prawdy, silniej więc jestem uzbrojony, aniżeli wszyscy paladyni. „A twoje puklerze?“ — zapytuje Muza.

— „Mam nienawiść i pogardę!“

Oto główne w ogólnych rysach zasady poety. Idei nowych, jak widzimy, nie wnosi on tutaj, a polityczne, wyznawane przez niego teorie spotykają się nie raz w rozmowach pracach publicystycznych, wyłożone racjonalniej i jaśniej. Niemniej przeto siła argumentacji poety, jego namiętności, jego ognisty język uderzają i zdumiewają, zwłaszcza, jeśli zauważymy, że jestto produkcja stojącego nad grobem starca.

Z wymienionemi dotąd trzema księgami nie wiąże się pod względem tendencji księga dramatyczna. Nie rzadko zdarzyło nam się słyszeć we Francji skargi, że niepowodzenia dramatu *Angelo* skłoniły autora

do zamknięcia w swej tece innych dramatycznych utworów. Ze skwapliwością więc śpieszyliśmy do tej księgi, spodziewając się spotkać te tajone dotąd perły, o których tak wiele mówiono. Zawiedliśmy się wszakże mocno. To, co spotykamy tutaj, dramat nazwać się może chyba tylko z powodu formy dyalogowej. Treść tego dzieła już nie polityczna, ale społeczna — kusi się rozjaśnić stanowisko kobiety, daleko wymowniej przedstawione w *Nedznikach*. Osnowy do zabawki dramatycznej (bo inaczej nazwać tego nie można) dostarczyła Wiktorowi Hugo bajka o kogucie, który znalazł perłę, szukając ziarna. („Gallus escam quaerens, margaritam invenit“). Udzielny książę niemiecki, Gallus, znudzony kłopotami tronu, wyprawia się z dworzaninem swoim na poszukiwanie awantur miłosnych. Jak ów kogut w bajce, książę Gallus robi dwa odkrycia. Najprzód znajduje perłę — i tę część podobało się podobąło się poecie nazwać komedią — później spotyka inną kobietę (*esca*), i to stanowi przedmiot dramatu, podzielonego na dwie części. Bohaterka komedii, *Nella* jest córką znakomitego szlachcica, walczącego niegdyś za wolność kraju, wojownika, — który dzisiaj wygnaniec — pracą rąk własnych siebie i dziecię swe utrzymuje. Córkę kocha młodego studenta, niewiadomego pochodzenia, który jak się później okazuje jest synowcem księcia i jedynym kandydatem do tronu, przez niego umyślnie usuniętym. Gallus, poznawszy niewzruszoną niezmienność dziewczęcia, prosi ojca o rękę jej dla swego synowca, i tron mu oddaje. Jestto dyalogowana pięknie sielanka, — coś w rodzaju *der Wanderer* Goethego. Punktem jej kulminacyjnym jest rozmowa ks. Gallusa z Nellą. Sielanka Goethego o tyle jednak jest donioślejszą od utworu Wiktora Hugo, o ile miłość macierzyństwa stoi w hierarchii uczuć na wyższym szczeblu, niż prostoduszna naiwność dziewczęcia. Czy poeta chce tu dowieść czego, wątpimy; chociaż w kilku rysach uplastycznia znakomicie całą godność i czystość wychowanej w ubóstwie Nelli.

Bohaterką drugiej części jest wiejska dziewczyna, uboga sierota, którą poznajemy w chwili, gdy ją odwiedza narzeczony, zapowiadając, że skoro tylko zrzuci furę nawozu, którą wiezie na pole, zajedzie po nią, ażeby się udać do ślubu. Dziewczyna nie kocha właściwie swego narzeczonego; rozkosze pracowitego życia wiejskiego, jakie jej kresli, nie nęca jej wcale — idzie za niego z biedy jedynie, (bo coż ma począć sierota sama jedna na świecie?). W chwili smutnych jej rozmyślań zjawia się książę Gallus, i polechtawszy jej próżność, na dwór ją swój zabiera. Dziewczyna, która w pierwszej części zwała się skromnie *Lison*, w drugiej, pod mianem *Margrabiny Zabeth*, jest uznaną kochanką królewską. Z opowiadań dowiadujemy się, że miliony już w pięknych jej rączkach stopniały, że namiętnie polubiła grę, i że w kartach oszukuje, — że nietylko z księciem Gallusem prowadzi wyuzdane miłości... Nie dziwi też nas wcale, kiedy zebrana u niej próżniacza szlachta traktuje ją jak ...kokotkę. Niespodziewane jednak z tego wszystkiego rodzi się rozwiązanie. Zabeth zaprasza swojego księcia na kolację, i kiedy znalazł się sam na sam, zaczyna mu gorzkie robić wyrzuty, że odebrał jej wiejską prostotę i otoczył zbytkiem, aby szczęście jej wydrzeć. Ona pragnęła miłości, a znalazła rozpustę. Wypija więc truciznę i pada martwa u stóp swego królewskiego kochanka, który poznawszy, jaki skarb utracił, z wykrzykiem: *je l'adora* — pochyla się nad trupem.

Znaleźć kobietę młodą, lekką i próżną, któraby w zamian za zbytek, stroje i holdy — enotę swą i wstyd dziewiczy oddała, wszędzie jest rzeczą bardzo łatwą, a najłatwiejszą może we Francji. Ale przeprowadzić tę kobietę przez wszystkie stopnie

moralnego upadku, kazać dotknąć się jej wszystkich brudów, zrobić ją historyczką, goniącą namiętne za rozpustą, i wtedy dopiero klasę w jej duszę jakieś wyższe zadania — jest jaskrawym absurdem. Popelniał go Hugo niejednokrotnie. W podobny błąd zresztą wpadają rozmaici — powołani i niepowołani reformatorowie, którzy częściej w drażliwych sytuacjach zysków osobistych, aniżeli dobra społeczeństwa swego pragną. Chcąc przytłumić handel ciałem kobiecym, owego strasznego raka najsilniej społeczeństwo francuskie toczącego, nie trzeba zwracać się do tych, dla których droga poprawy nie istnieje, ale w młodem pokoleniu zaszczepiać zasady honoru i cnoty. Przedewszystkiem zaś nienależałoby ludziami a zwodnemi obrazami tryumfów i zbytku roznamietniać żywej z natury imaginacji. Owi to właśnie reformatorzy, owi chwalecy upadłych kobiet, owi zwolennicy szukania pereł w błocie są podobno bezpośrednim powodem zjawiska, że prostytutka francuska nie kryje się po ciemnych miastach zaułkach, jak to jeszcze dotąd w reszcie świata jest we zwyczaju, ale do godności pracy na życie podniesiona, rządzi modą, rozpiera się w powozach, złotem szafuje, i ton nadaje stolicy. Doświadczenie wprawdzie uczy, że te pełne powodzeń tryumfy, kończą się zwykle w szpitalu lub na torbie gałganiarki, ale młodość ufa w swe siły: rzucając się w kałużę jest pewna, że wypłynie, że roztropność uratować ją może od rozbicia w tym pełnym ulud świecie, który tak uroczyście barwami rysuje sztuka i poezja francuska. Kto z taką pewnością siebie, jak Wiktor Hugo, na mistrza narodowi się narzuca, powinien zrozumieć, że na fałszywej jest drodze i na mylnem stanowisku. Taka margrabina *Zabeth* nie jest *esca*, ale raczej *venenum*, — a ponęty, jakimi ją autor otoczył, zaciemniają blaski *margarity*, która jasnymi promieniami świecić powinna.

Taką jest w ogólnych rysach książka, która tyle teraz we Francji narobiła hałasu. Z krótkiego tego sprawozdania czytelnicy widzą, że nie podzielały w zupełności owego zapалу, jaki zanucił jednogłośnie cały republikański obóz, nie powiemy o poecie za Banville'm:

„Génie extrê vivant dans l'immortalité.”

Nie konserwatywne jakieś uprzedzenia zapal nasz chłódzą. Owszem, przyklaskujemy chętnie prawdzie, skądkolwiek ona pochodzi, i chętnie na główne zasady się piszemy, choć okoliczności nieopowalają nam ich rozwinąć. Nie tajemny wszakże, iż wobec ostatniego utworu W. Hugo, dalecy jesteśmy od podzielenia bezwzględniego chwalców zachwyty.

M. O.

KOMETA CRULSA

(1807—1881).

Historia studyów nad kometa, oddalającą się od nas obecnie tak szybko, zawiera w sobie kilka dość zabawnych epizodów, które, niestety, w tym dziale badań nie są bynajmniej nowością.

Prawie nie dotąd niewiemy, co to jest kometa, jaki jej skład chemiczny, jakie warunki fizyczne jej istnienia, gdy tymczasem o wszystkich innych ciałach niebieskich, nawet tak oddalonych, jak stałe gwiazdy i mgławice, mamy pewne i wcale dokładne wiadomości. Astronomowie błaskają się wśród ogromnej ilości hipotez jak najmniej prawdopodobnych.

Kometa, która świeciła niedawno na niebie, miała według obliczeń wrócić dopiero za siedmnaście wieków, a tymczasem spostrzegł ją brazylijski astronom Cruls w roku bieżącym, po upływie 74 lat od chwili, gdy po raz pierwszy była badana.

Siedmnaście wieków, a lat siedmdziesiąt

cztery — to zbyt gruba omyłka. Ale skądże pewność, spytacie, że to jest ta sama kometa, którą widziano w r. 1807. Pewności niema, jest tylko wielkie prawdopodobieństwo.

Przypatrzmy się bliżej, w jaki sposób poznają badacze nieba, czy dana kometa, zjawiająca się niespodzianie na firmamencie, jest którąkolwiek z tych, które już poprzednio spostrzegano. Z zewnętrznej postaci o tem sądzić wcale nie można. Kształt komet zmienia się niemal co chwila i nie może służyć za podstawę do porównania. Droga natomiast, którą kometa opisuje, krzywa eliptyczna, którą zakreśla w przestrzeniach okółosłonecznych, pozostaje w ogólnym swym charakterze mniej więcej ta sama. Elementy drogi komety, jak orzekają astronomowie, są do siebie podobne. Jeżeli więc na kilka elementów zupełnie zgodnych jeden się tylko różni, wtedy przypuszczamy, że jest to ciało poprzednio widziane. Zmiany, jakie zaszły, mogły powstać wskutek wpływów kosmicznych jakiegokolwiek natury. Astronom Faye przypuszcza, iż w danym razie powodem omyłki w obliczeniu było to, że nie wiedziano o Neptunie, który dopiero później odkryty został przez Leverriera, a który działaniem swej masy mógł tak wpłynąć na kometa, tak ją zawrócić z drogi, że zamiast siedmnaście wieków, potrzebowała tylko 74 lat do powrotu. Elipsa, która na zasadzie poprzednich obserwacji miała oś o kolosalnych rozmiarach, okazała się znacznie krótszą. W każdym razie jest to tylko przypuszczenie, wcale od innych nielepsze; możnaby bowiem z równą śmiałością powiedzieć, że się poprostu w rachunku omyłono, albo że robiono nie dosyć dokładne spostrzeżenia.

Lecz dopóki mowa o kometach ze stanowiska mechaniki niebieskiej, ze stanowiska czysto rachunkowego, dopóty jeszcze mamy zrzecami pewnemi do czynienia, i skoro tylko obliczenia były dokładne, skoro uwzględniono wszystkie warunki wpływające na bieg komety, można być pewnym dobrego rezultatu.

Lecz gdy zaczniemy szukać odpowiedzi na pytanie: czym jest kometa, umysł wika się w sprzecznościach. Są to ciała dziwnej budowy. Nie spotykamy podobnych na ziemi i nie mamy przedmiotów, do których porównałby je można.

Dość jest rozpatrzyć się w sprawozdaniu z kilku ostatnich posiedzeń Akademii Umiejętności, aby się przekonać, jak różnorodne krążą o tem hipotezy, i jakie trudności spotykają uczeni na drodze ściłych poszukiwań.

Najpotężniejszym środkiem do badania składu chemicznego i budowy fizycznej ciał, zawieszonych zdala od nas w przestrzeni, jest jak wiadomo analiza spektralna. Z rodzaju promieni światła, wysyłanych do nas przez te ciała odległe, poznać można, jakie pierwiastki chemiczne w ich skład wchodzi, i czy to są ciała stałe, płynne, czy też gazowe. Otóż w zastosowaniu do komet, rozbiory widmowe dają wypadki niezbyt pewne, z których jednak z wielkiem prawdopodobieństwem wnioskować należy, że głównym ich składnikiem jest węgiel, w połączeniu z wodorem, a może i z azotem. Jedni z obserwatorów zauważyli widmo, podobne zupełnie do widma palącego się alkoholu, widzieli pręgi charakterystyczne dla połączeń węglowodorowych; inni znów dla połączeń węgla, wodoru i azotu, w ciele zwanem kwasem sinowodorowym (Az HC). Na podstawie tego ostatniego faktu wnioskował niedawno znakomity chemik Berthelot, że w wytworzeniu ogona komety, elektryczność odgrywa wielką rolę, albowiem kwas wyżej wspomniany powstaje przy wyładowaniach elektrycznych. Zresztą myśl ta nie jest zupełnie nową, gdyż wypowiedział ją poprzednio profesor uniwersytetu lipskiego, Zöllner, który mniema, że jedynie przez działanie

elektryczne może powstać ogon u komety, zwrócony, jak wiadomo, zawsze w stronę przeciwną słońcu, jakby na przekór sile ogólnego ciążenia. Ponieważ zaś siły odpychające widzimy na ziemi w ich formie najprostszej, przy elektrycznem odpychaniu, stąd więc wyprowadzono wniosek, że to słońce odpycha w przeciwną stronę masę gazową komety.

Ten ogon komety przedstawia właśnie największe trudności, gdy chodzi o zdanie sprawy, czym jest właściwie kometa. Rozciąga się on w przestrzeni na miliony mil długości, i jest przytem tak przezroczysty, że widać przezeń gwiazdy, które przytem nie na swym blasku nie tracą. Masa więc jego musi być tak zadziwiająco małej gęstości, iż o podobnej my na ziemi pojęcia sobie wyrobić nie możemy. Skłoniło to niektórych do przypuszczenia, że ogon komety nie jest wcale materjalnym. Między innymi, znany popularyzator, Flammarion twierdzi, że ogon nie jest żadnym ciałem, lecz poprostu eterem, wprowadzonym — w cieniu jądra komety — w szczególnego rodzaju drgania. Hypotezę taką łatwo wypowiedzieć, ale trudno jej dowieść.

Ważną bardzo badani pana Prażmowskiego, byłego profesora uniwersytetu warszawskiego, które obecnie zwróciły na siebie uwagę ogółu astronomów. P. Prażmowski znany już był poprzednio z odkrycia atmosfery słonecznej, zwanej zwykle *koroną*. Do tego odkrycia, uczony ten, zajmujący się teraz głównie budową instrumentów astronomicznych, doszedł za pomocą polaryskopu. Tę samą metodę zastosował obecnie do komety Crulsa, i przekonał się, że świeci ona głównie światłem spolaryzowanym, co dostarcza nowego poglądu na jej budowę. Lecz i to nie daje nam jeszcze wcale odpowiedzi na pytanie, czym jest kometa.

Wszystkie dotychczasowe badania spektroskopowe (Wolff, Huggins) nad nową kometa, potwierdzają, że węgiel gra tam jedną z ról najważniejszych. Hugginsowi udało się zdjąć z widma komety fotografię, która jeszcze bardziej o istnieniu przeważnem tego pierwiastku przekonała.

Jeżeli zestawimy dotychczasowe spostrzeżenia, przekonamy się, że: 1) Jądro komety jest albo płynnem, albo też składa się z wielce zagęszczonego gazu. Widmo jest ciągłe. 2) Powłoki otaczające jądro, stanowiące rodzaj atmosfery, są rozrzuconymi gazami. Widmo ich, przerywane, przedstawia charakterystyczne prążki. 3) Ogon daje widmo ciągłe, i wysyła światło spolaryzowane, co zdaje się dowodzić, że jest ono odbitem od gazu.

Jak te obserwacje razem ze sobą pogodzić, jak wyprowadzić z nich wniosek ogólny, jest to zagadnienie pozostawione przyszłości. Komety są ciągle jeszcze zagadką błaznącą po niebie, jak słusznie powiedział Janssen.

Po raz pierwszy w roku bieżącym zdjęto fotografię z komety, w obserwatorium astronomicznem w Meudon, znajdującem się pod Kierownictwem p. Janssena. Były przy tej okazji niezwykle trudności do przezwyciężenia. Światło komet jest nadzwyczaj słabe. Blask ich dorównywa zaledwie $\frac{1}{300.000}$ blasku księżyca, a ten ostatni jest tak słabym, że przedstawia tylko $\frac{1}{300.000}$ część blasku słońca. Należało więc przystąpić nadzwyczaj czule płytki fotograficzne, aby nie potrzeba było wystawiać ich przez czas zbyt długi na działanie promieni, od komety pochodzących. Użyto w tym celu płyt suchych żelatynowych, napojonych bromkiem srebra. Trzeba je było utrzymywać w zupełnej ciemności, aby się do nich nie dostał żaden promień światła.

Po 30-stu minutach wystawienia, otrzymano bardzo piękny obraz komety, przedstawiający ten fakt charakterystyczny, że na tle ogona wachlarzowatego, widać było

dokładnie gwiazdy, po za tym ogonem się znajdujące.

Z próbnych wnioskować można, jak wielkie z czasem fotografia oddać może usługi nauce.

B. Abakanowicz.

PIŚMIENICTWO POLSKIE.

Studia nie z natury przez Wł. Spasowicza. Wilno 1881 r.

Pod takim nagłówkiem ukazały się, jako trzynasta książka w długim szeregu pożytecznych wydawnictw p. Elizy Orzeszkowej, cztery prace dobrze społeczeństwu swemu zasłużonego socjologa-estetyka. Ponieważ trzy z pośród umieszczonych tu studyów, mianowicie: o Syrokomli, Polu, i „Hamlecie“ Szekspirowskim, wydane poprzednio w *Bibliotece Mrówki*, znalazły już w *Prawdzie* odpowiedni odgłos krytyczny, zajmujemy się więc tylko oceną rozprawy: *Marcin Matuszewicz, jako pamiętnikarz*.

W r. 1876 profesor Pawiński wydał, jak wiadomo, znane dawniej w rękopisie ciałem kółku uczonych, pamiętniki Matuszewicza. Jestto czterotomowy dyaryusz, kreślony ręką typowego szlachcica-agitatorazepoki saskiej. Czem byliśmy w owych „wesołych“ czasach?—Na to pytanie godny swego wieku pamiętnikarz odpowiada całą galerią portretów, plastycznymi obrazami pojęć, dążeń i czynów z owej fatalnej doby, gdy „królewictwo“ obsługiwane przez gmin szlachecki, gospodarowały samolubnie, wśród ciszy przedgrobowej, w walcym się budynku Rzeczypospolitej. Chwila to straszna, przejmująca synów dziewniastego wieku dreszczem zgrozy i obrzydzenia. Ale nie odwracamy się od niej; owszem błogosławmy twórcy wizerunku, że nas zapoznaje z obliczem prawdzią, i zbliża do źródła naszych chorób i nieszczęść. W epoce, kiedy M. wstępuje na drogę publiczną, losy Polski zostają już w ręku mocarstw ościennych. Waleczące ze sobą stronnictwa szukają podpory za granicą, to w Wersalu, to w Wiedniu lub Petersburgu. Niebawem jednak upada sprawa Leszczyńskiego, a wraz z nią niknie rzeczywiste oddziaływanie Francji na polityczną dolę Rzeczypospolitej. Żelazne koło wpływów zewnętrznych zaciera się i wzmacnia, a nowy projekt rozbioru, złowrogi testament Augusta II, wisi nad Polską, niby chmura piorunowa. Tymczasem za kruchą ścianą złotych swobód Potoccy z Czartoryskimi walcą o hegemonię, o prawo ratowania tonącej łodzi państwowej. Po dawnemu wstępują w szranki bojowe i inni magnaci. Ile dworów możnowładczych, tyle ognisk rządu. Szlachta usługuje panom za chleb i promocje: zrywa sejmy i trybunały, rąbie się na sejmikach, zmienia wreszcie zdradziecko liberyę służalczą, ilekroć przeciwnik bogatsze obiecuje dary. Na samym dnie tej machiny, po za granicą ruchliwych obozowisk, drzemają stany wzgardzone, a groźba strącenia szlachcica na bezprzywilejowe stanowisko bywa niejednokrotnie straszną bronią zemsty w ręku „wielmożnego“. Nędzę moralną okrywają brzmienie hasła enoty obywatelskiej, a gwałt i przesładowanie wieńczy się obrzędami „koronacji obrazów cudownych“. Oto blade oblicze chwili, której dziecięciem był Matuszewicz. Wychowanie szkół jezuickich — nadworny „gramuszkietter“ Augusta II, partyzant Leszczyńskiego, utalentowany karyerowicz, ostatecznie kasztelan brzeski, był on gotów, bez względu na zasady, wszystkim służyć i wszystkich zdradzać, byle tylko pięć się coraz wyżej, porastając w pierze.

Praca p. Spasowicza jest wcale udatnem streszczeniem pamiętników, które zamykając w sobie prawdziwą skarbnicę dziejów,

nie nęca przecież czytelnika piękną formą opowiadania. Cel, jaki sobie nasz socjolog w rozprawie tej założył, łatwo odgadnąć. Szło mu nadewszystko o zainteresowanie czytelnika przedmiotem, a więc o zwrócenie umysłów do niezamąconej krynicy prawd historycznych, o pobieżne, ale śmiało zaznaczenie stosunku takich, jak dyaryusz Matuszewicza źródeł — do romantyki Chodźków, Rzewuskich i Polów, o zestawienie wreszcie nawiasowe moralnej postaci „pogrobowców rodem z rumowisk zwałonego państwowego gmachu“ — z owym wstrętnem, choć ubranem, w porpurę widmem z czasów saskich... Tendencja ta jest bardzo wyraźna. Zarzucić jednak muszę autorowi, że nazbyt się zasklepił w ramach swego przedmiotu. Wartość danego źródła może być wykazana jedynie na zasadzie krytyki porównawczej. Otwierało się więc p. Spasowiczowi szerokie do badań pole. Jeżeli zaś porzucając myśl napisania obszernego studium, chciał poprzestać na szkicu konturowym, to i wtedy wypadało koniecznie zwrócić pilną uwagę na takie graniczące z obranym szczegółem zjawiska, jak pamiętniki Otwinowskiego lub Kitowicza, o których w całej rozprawie nie znajdujemy najmniejszej wzmianki.

Praca o Matuszewiczu jest wogóle sumiennem odwzorowaniem pomnika, zabarwionem uczciwą tendencją. Nie może ona rościć sobie prawa do tytułu takiego studium, jakie o tym pisarzu z epoki przełomu — skreślił pan A. Pawiński; ale będąc szczercem o grubych rysach, sprawozdaniem bez pretensji do głębszej krytyki i ponętnego stylu, może jednak swym tonem i kolorytem wywrzeć na umysł czytelnika wpływ stanowczo dodatni i zachęcić do badania źródeł pod hasłem: „prawdziwe, więc piękne.“

A. G. Bem.

PROJEKT BANKU PAŃSTWOWEGO dla ubezpieczenia rozechodów.

III.

(Zarzuty).

Projekt jest może nieco suchym. Starałem się zresztą być więcej przekonywającym, niż zajmującym. Kilkanaście powyższych artykułów stanowi tylko bezbarwny szkicelet projektu. Rzucam go chętnie pragnącym się nim zająć umysłem. Zanim krzyżujące się nad nim zarzuty wyświetlą jego mniemaną czy rzeczywistą wartość, przytoczę tu kilka wymierzonych przeciw niemu ciosów przed jego urodzeniem się w druk.

„Przypuścmy, że kupcy nabędą obligacye dla rozdawania ich swoim klientom. W jakim sposób odbiją ten wydatek na konsumentach?“

W takim sam sposób, w jaki odbijają wydatek na szyldy, drogie sklepy, ogłoszenia. Wyobraźmy sobie, że z czterech znajdujących się przy sobie sklepów, jeden daje obligacye, trzej inni nie. Czyż pierwszy nie powiększy sobie przez to klienteli? Zwiększona cyfra sprzedaży pozwala mu znów stosunkowo obniżyć stopę swoich zysków. Przypuszczam możliwość przytem mnóstwa kombinacji. Najgorszą z nich będzie niechybnie ta, kiedy zyski kupca są tak skromne, że nie pozwalają mu na zręczenie się pewnej części zysków. Wtedy albo będzie dawał w połowie, czy w 1/3 części obligacye, lub też w razie możności przerzucać się będzie starał ten wydatek na konsumentów, w części lub całości. Fakt ten wystąpi zresztą dopiero za lat kilkanaście. Wzrost zaufania do tych obligacji i przekonanie o ich ważności spowoduje pewien nacisk ze strony ogółu na kupców, zmuszając ich do zakupywania obligacji...

„Więc możliwym jest wypadek, że ów cały koszt obligacji spadnie na konsumenta?“ — zauważy ktoś...

Przypuszczam i ten najgorszy z wypadków. Stanie się tedy co? Oto jednostka nieświadomie robi sobie dobrodziejstwo, korzystając pod opieką państwa z potężnych skutków operacji składanych procentów, którejby nigdy sama skutecznie nie była w stanie.

Pozorne zło tedy staje się nawet w tym razie nader korzystnem dobrem

Nowa instytucja spowoduje u wielu życie nad stan. Niejeden zbyt kuśając, usypiać będzie swoje sumienie tem, że robi to dla pokoleń przyszłych...

Trudno. Ludzie nie fabrykowaliby snurów, gdyby mieli na widoku, że się lekko-myślni na nich wieszać będą.

Robiąc lokomotywy, mamy zresztą na myśli nie rzucających się pod ich koła, ale tysiące wozonych przez nie pasażerów

Jest jeden zarzut — raczej usterka, która cechować będzie działalność banku w początkach jego istnienia. Oto jego wpływ z początku ogarnie przeważnie tylko klasy średnie. Trudność wystawiania mniejszych obligacji nad rublowe, czy półrublowe nie pozwoli biednej klasie, robiącej wydatki zwykle w bardzo drobnych kwotach, korzystać z dobrodziejstwa obligacji. Z drugiej strony, ceny pokarmów pierwszej potrzeby, które też stanowią główne źródło wydatków klas niższych — ciężko zniosłyby najmniejsze przerzucenie kosztów obligacji, jak znów kupcy z trudem zrękliby się jakiejś części zysków. ¹⁾ Ale jestem tego zdania, że z biegiem czasu, a szczególnie z rozwojem oświaty, i w tej sferze zapuści bank potężne korzenie. Zresztą posłuży do tego cały szereg środków, których wyjaśnieniem zajmę się w szczegółowym projekcie

Jeżeli interes banku pomyślnie rozwijać się będzie, nastąpi chwila, w której ogromny zbiór kapitałów uniemożliwi ich oprocentowanie. Co się stanie wtedy z kupcami beczkami leżącymi złota...

Wystawiają pomniki tym, którzy się pierwsi do urzeczywistnienia tego projektu przyczyniają? Mówmy seryo.

Jakżeż oddaloną jest ta chwila! Wobec łatwości cyrkulacji kapitałów — nie łatwiejszego, jak przerzucić ich nadmiar do krajów sąsiednich

Ale kapitał stanie się z biegiem czasu — jakżeż państwo będzie wstanie kapitalizować obligacye w stosunku 5%

Nie łatwiejszego nad zarządzenie w tym względzie złemu. Nastąpi po prostu konwersja. Pożyteczna dla państwa i właścicieli obligacji. Obrachuje się wartość kapitału składanego na 5% do chwili konwersji — i państwo częściowo czy całkowicie wykupi obligacye i nadal kapitalizować je będzie w stosunku 4%.

Zresztą zarzut ten, wyznaje, przekracza najwybujałsze moje marzenia. Jego możliwe urzeczywistnienie stanowić będzie kiedyś najszczytniejszą apologię dla wprowadzonego w życie banku państwowego.

IV.

Archimedes zdobywszy swą wielką prawdę, poświęcił podobno hekatombę na ofiarę bogom. Od owej chwili — twierdzi Börne — woły obawiają się każdej nowej prawdy. Myśl ta opanowuje mnie zawsze na widok wszelkich nowych projektów. To nam po części tłumaczy, dlaczego każdy

¹⁾ Jeden z większych właścicieli piekarni u nas przekonywał mnie jednak, i to wymownie, że rzecz ta przyjąłaby, się i to nader pomyślnie przy sprzedaży pieczywa. Brak miejsca nie pozwala mi się wdawać w szczegóły.

LIBERUM VETO.

dbający o realizację swojej idei, odszukuje dla niej antenatów choćby w klasycznych Atenach lub Sparcie.

Niestety, trudno mi zacząć w pomroce dziejowej o instytucję pokrewną projektowanej. Zresztą średnie wieki były się, jak wiadomo, potęgą pieniędzy — i ich mnożenie za pomocą składanych procentów — uważano za kłamstwo, niegodne spekulujących tylko... na zbawienie ludzi.

W nowszych jednak czasach powstało, o ile mi wiadomo, kilka drobnych towarzystw, działających na podstawie składanych procentów, ale przetrwały one za ledwie lat kilkanaście. Trudno stawiać gmachy z piasku. Były to instytucje czysto spekulacyjne, założone przez jednostki polujące na łatwowiernych. Cechowały je owe *wszystkie wady*, jakie czytelnik łatwo wysnuje na podstawie metody à contrario, biorąc za tło do porównań — bank państwowy dla U. K.

Trudno — młot w rękę dziecka pokona je swym ciężarem — w rękach męża — tworzy cuda. Wielka idea składanych procentów potrzebuje dla swej realizacji takiej tylko potęgi, jaką jest państwo!

Zresztą rzecz ta nikogo nowością swoją nie przestraszy. O jej podstawie wiedzą wszyscy, choć nie zastosowano jej jeszcze nigdy w tej formie. Mówię to dlatego, iż w rzędzie zarzutów spotkałem się i z takimi: dlaczego dotychczas żadne z państw tego nie zrobiło? I w dziedzinie ekonomicznej przeszłość nie znała wielu rzeczy, które wytwarza teraźniejszość, jak znów teraźniejszość nie zna wielu rzeczy, które wytworzy dopiero przyszłość.

Kto wie, czy nie urzeczywistni się kiedyś teoria Hildebranda, że efemeryczna idea kredytu i zaufania zastąpi w zupełności — ciężki pieniądz!

V.

W chwili, gdy to piszę, projekt główny rozpatrywany już jest przez ministra skarbu. Zdanie, jakie o nim wyda pan Bunge (obecny minister skarbu) mieć będzie, niezależnie od praktycznego, i swe doniosłe teoretyczne znaczenie, wobec wysokiej powagi, jaką się cieszy towarzysz ministra w rosyjskim świecie naukowym. Bądź co bądź, czy projekt ten będzie uśmierconym na razie, czy też pogrzebany na czas dłuższy w aktach ministerium, przekonany jestem, że zmarłych wstanie on na pewno za lat kilkanaście. Przyjdzie się może w inną formę, ale jego żywotna podstawa będzie jedną i tą samą. Potęga składanych procentów musi ludzkości oddać swoją daninę usług. Postęp wieków nie pozwoli marnować się tak żywotnemu czynnikowi. Zagładzi on może z czasem pewne chropowatości losów, zbliżając wszystkich, jeżeli nie majątkowo, to przynajmniej stopniem szczęścia. Niech tylko kilku tysiącom rodzin oszczędzi rozpaczliwych na przyszłość widoków, niech kilku tysiącom matek da pewność materialnych podstaw do życia ich potomków, a ludzkość zamiast przypatrywać się jego potęgę z boku, przyzna kiedyś temu bankowi zasługi dobroczynnych sił pary, czy elektryczności!).

J. Finkelhaus.

1) Wartość projektu p. Finkelhausa sprawdzoną być może, jeśli nie a posteriori, to w każdym razie po wzięciu w rachubę wszystkich warunków, w jakich on musiałby się urzeczywistnić. Niezależnie od tego, przyznać mu trzeba wielką pomysłowość i śmiałość. Co do nas, sądźmy, że określony przez autora termin wypłaty całkowitej proponowanych obligacji, jako podbudka do nabywania ich i robienia oszczędności, jest za odległym. I dlatego byłoby daleko praktyczniej, gdyby państwo, prócz ostatecznego terminu, wyznaczyło kilka bliższych, w którychby dyskontowało papiery po ustanowionym z góry kursie. (Red.).

Władomość o wydzierżawianiu włościanom gruntów koronnych. — „Kulak“ pozostał zwycięzcą. — Przygoda korespondenta *Gazety Polskiej*. — Tfu, do stu diabłów! — Bezbożne wyznanie. — Potrzeba *Światła*. — Bezwładność piorunów *Przegl. Katolickiego*. — Rada ks. Mizińskiego. — Peknięty kocię i jego ofiary. — Kto za nie płacić będzie. — P. Konopnicka „na fujarcie.“

Przed kilku dniami w gazetach warszawskich spotkałem następujący telegram z Petersburga: „Urządowe. Ogłoszony został okólnik ministra dóbr państwa, polecający, aby w celu podniesienia gospodarstw włościańskich dotychczasową praktykę wydzierżawiania ziem koronnych postronnym (?) kapitalistom *znieść*, a zaprowadzić wydzierżawianie owych gruntów włościanom.“ Jakkolwiek wiadomość ta dotyczyła głównie Cesarstwa, gdzie tak zwani „Kulaki“ są jedynymi zwycięzcami na licytacjach i dzierżawcami ziem koronnych, ponieważ jednak oddziaływały również i na Królestwo, gdzie istnieje masa drobnych, dwulub trzymorgowych włościan w sąsiedztwie gruntów rządowych, powitałem ją radośnie. I już miałem podzielić się z czytelnikami długim pasmem uwag w tym przedmiocie, gdy nagle odbieram gazety rosyjskie i przekonuję się, że tyle w tej wiadomości było prawdy, ile — za pozwoleniem — w „krytyce“ czy „tendencjonalności“ p. Goraja. Okólnik bowiem ministra wcale nie „*znosi*“ dotychczasowej praktyki wydzierżawiania ziem koronnych“ i nie zapewnia przywileju włościanom, ale ich dopuszcza do współzawodnictwa z „Kulakami“, poleca, aby warunki licytacji były ogłaszane nie tylko po miastach, lecz również po gminach i parafiach. Sprawa ta więc jest dopiero zaczęta, nie zaś skończona, a byłaby taką wtedy jedynie, gdyby — jak radzą gazety rosyjskie — zniesiono licytację, rozdrobiono grunta rządowe na małe udziały i wypuszczono je w dzierżawę włościanom po cenach ustanowionych. Tymczasem „kulak“ tj. spekulant pozostanie panem placu, nie tylko przez zręczność, ale i przez pieniądze. Kto chce działać dla dobra ludu, powinien pamiętać, że on jest biedny i głupi. Tylko prawa, uwzględniające oba te warunki, mogą mu przynieść korzyść.

Nie sądzicie jednak, ażeby tak łatwa była sprawa z naszą arystokracją, która jest o tyle wyższą od ludu, że posiada przynajmniej pieniądze. Ciekawy na to dowód przytacza korespondent *Gazety Polskiej*, który nie mógł pojąć, na co istnieją faktory i nareszcie zrozumiał, że bez nich nie naruszyłaby się równowaga świata. „Rok temu — powiada on — zimą potrzebowałem kupić kilka tysięcy korey owsa, żydkowie przewąchawszy o tem, że wszech stron ścigali się, proponując mi swe usługi. Jeden z nich bardziej naiwny, a może lepiej znający nasze obywatelstwo, robi mi taką propozycję: u hr. K. z K.-K. jest do sprzedania parę tysięcy korey owsa, on je kupi i za pewną zapłatę odstąpi kontrakt. Myślę sobie, na co mam płacić ów haracz, czyż nie lepiej osobiście się porozumieć? Zbywam więc żydka nieczem, siadam i jadę. Przyjeżdżam, wchodzę do przedpokoju, pytam:

— Jest pan hrabia w domu?

— Jest.

— Mogę się widzieć?

— Przepraszam, a pan... tego...

— Jestem ztąd i ztąd (firma wielce znana), w takim a takim interesie.

— Zaraz.

— Czekam. Po chwili wychodzi lokaj.

— Pan hrabia nie zdrów (a wiem że był zdrów)... ale za owies... taka a taka cena.

— No, ale chciałbym przynajmniej widzieć choć owies?

— A, zaraz.

Pobiegł znowu. Czekam więc w hrabiow-

skim przedpokoju, przyozdobionym po ścianach ostentacyjnie, by szanowny interesant nie był czasem w wątpliwości gdzie się znajduje, w oprawne w porządne drewniane ramy za szkłem, kolorowane stereotypowe ryciny, z jakiegoś francuskiego *Journal des Modes*, najrozmaitszych krojów ubrań lokajskich. Nakoniec przyniesiono próbki; rozpatrzywszy je, powiadam:

— To trochę za wysoka cena, ale mogę proponować taką.

— Zapytam pana hrabiego.

— Pobiegł; czekam znowu mając na widoku przedewszystkiem interes.

— Pan hrabia nie może ustąpić z ceny.

— Dobrze, dajmy na to, że się zgadzam na nią, ale trzeba z kimś pomówić o warunkach.

— Jakież tu warunki...

— Tfu, do stu diabłów!... pluąłem i wyszedłem; trudno było pomimo nawet najdemokratyczniejszych pojęć kilkotsięczny interes załatwić przez fagasa; a trzeba dodać, że ów pan hrabia — człowiek młody! Od tego czasu zarzekłem się unikać pośrednictwa żydków. Najmocniej jestem przekonany, że ów pan hrabia sprzedał ten sam owies żydom za daleko niższą cenę, niż mu proponowałem, albowiem ci, przeszedłszy pół dziedzince bez czapki, przysięgłszy na wszystkie możliwe tempa, że cena na owies spadła, pozwoliwszy sobie złać i parę razy za drzwi wypchnąć, w końcu zapłacili, co sami chcieli. Taki despekt spotkał p. B., który chciał bez dziewosłów zakonkurować do hrabiowskiego... owsa, i który przekonał się, że pogardzani żydkowie nie są tak bezpożytecznym plugastwem, jakby się napozór zdawało. Są to swatowie, kojarzący związki małżeńskie między niskiego pochodzenia narodem a wysoko urodzoną arystokracją. Bez nich związki te nigdy by się nawet luźnie nie zcepiły, a każdy plebejusz, odważywszy się na ominięcie tego pośrednictwa, prędzej czy później musi zawołać: Tfu, do stu diabłów! To też Bóg wiedział, na co stworzył i w Polsce gęsto posiał żydków. Jest to nasz cement społeczny, nasze wiązania warstw niższych z wyższą. Gdyby tego cementu nagle zabrakło, znikłyby mosty, zawieszane nad przepaściami i prowadzące z dołu do góry. Wtedy wyrosłabyśród naszych kłopotów nowa, dotąd, dzięki żydom bez czapki na podwórzu stojącym zażegnwana kwestya „pogodzenia“, daleko trudniejsza, niż wszystkie „primirenia“. Czując to, nie wypędzajmy dzieci Izraela, bo może przyjsie taka chwila, że panowie hrabiowie nie sprzedadzą nam korea owsa, a jedyną pociechę w tem strapieniu będzie tylko: Tfu, do diabła! (Co za pyszny epigraf dla *Złotej księgi* naszych panów!).

Do prześladowania tego pożytecznego gatunku „wielce się przyczynia — według tegoż korespondenta — nasza religia.“ Bezbożny ten człowiek, który jednym zamachem „ubezwyznaniował“ *Gazetę Polską*, i któremu sławetny p. Goraj, dla odzyskania wiary, pewnie każe czytać Heinego, powiada: „Kto zechce sobie przypomnieć dziecinne lata, gdy z całym przejęciem się młodocianego umysłu uczył się historii świętej, gdy mu przed dziecinną wyobraźnią przesuwwały się owe straszne, pełne grozy obrazy krwawej męki niewinnego Boga-Człowieka, gdy zdaje się słyszał krzyki rozjuszonej tłuszczy żydowskiej: „ukrzyżuj Go, ukrzyżuj!“ z jaką nienawiścią poglądał wówczas na każdego żyda, wstępującego w jego rodzinne progi, z jaką rozkoszą wpilby się swemi drobnymi rączkami w jego długą brodę i pastwilby się nad tym zabójcą i dręczycielem, kogo?... Syna Bożego! Czyż ta nienawiść, zapadłszy w głąb dziecinnego serduszka, później w życiu przy pierwszej lepszej sposobności, których, niestety, żydzi aż zanadto nam w biegu jego nasuwają, nie zbudzi się, tylko może w innej formie? Czem zresztą innym można objaśnić ów ongi wieczny an-

tagonizm i nieraz bójki uliczne między uczniami wszelkich szkół, a żydkami miasteczkowymi? A dodajmy tu w nawiasie, że lud prosty jest tem dzieckiem, owym uczniem szkolnym."

Przytoczyłem ten następ nie dla tego, ażebym go uważał za klasyczny, ale dlatego, ażeby przekonać, że *Światło*, które w naszej prasie zapalić się miało, a które, jak zapewnia w *Échu* ks. A. H. Jakubowski, pono nigdy nam nie zabłyśnie, miałoby dużo do roboty „z inteligencją świecką." Mieszkam w Warszawie, zajmuję się literaturą humorystyczną, czytuję kuryery, a nie nie wiedziałem o niebezpieczeństwie, jakie groziło bezbożnikom ze strony pewnego „kółka" duchownych. „Kółko" to, widząc, że *Przegląd Katolicki* jest organem księży, że go nikt nie czyta, że pisma bezbożne „nie a nie" sobie z niego nie robią, że „przeciwników raczej ośmiela, niż powstrzymuje," słowem, że „nawet śmiertelne jego cięcia ranią tylko powietrze" — postanowiło założyć drugi tygodnik religijny „dla inteligencji świeckiej," któryby „mógł skutecznie (!) prowadzić przykrą, ale jak dziś nieuniknioną polemikę z pismami antireligijnymi." *Przegląd Katolicki*, mimo wszelkich „wysiłków gorliwości i nauki," mimo stałej prenumeraty Paprockiego, dziada z pod Ś-go Krzyża, który w tych dniach zmarł, pozostawiwszy kilka tysięcy rubli (tak mu Bóg za ten abonament pobłogosławił), mimo to szan. ów organ nie zdołał dotąd wejść na miejsce publicznych, jak: do cukierni, kawiarni i stacyi kolei żelaznych; otóż *Światło* miało nadzieję opanować te posternaki i leżąc na jednych stolikach z pismami antireligijnymi, odbijać im kundmanów. Wierzę mocno, że z walki tej wyszłoby zwycięsko, zwłaszcza gdyby obok *Świata* stały koszyczki z truskawkami i paczki pierników w nagrodę każdemu, kto zechce się oświecić „pod względem apologetycznym." Przyjęty te byłyby zbyt cenne jedynie na stacyach kolei żelaznych, gdzie często brak papieru dla zawinięcia butersztitów w drogę, i gdzie podróży, znudzony czekaniem na pociąg, odczytuje nieraz dla zabicia czasu nawet trzydziesty piąty ciąg artykułu o żydach w *Dzienniku Warszawskim*. Niezależnie od tych wielkich usług, jakie *Światło* oddałoby mogło, za cenę pamięci kanonik Mizinski, który bisk. Baranowskiemu pisywał rozumne listy pasterskie, zachęcające księży do porzucenia gospodyń, a zajęcia się sadzeniem ogródków po wsiach, powiedziałby owemu „kółku:"

— Dajcie wy pokój „względem apologetycznym" i „inteligencji świeckiej," a pomysłcie lepiej o ciemnocie ludu i jego nędzy.

No, ale nienuznanie jest losem wszystkich wielkich idei!

Przeczytawszy poroniony prospekt *Świata*, jestem pewien, że jego redakcyja, zajęta „względami apologetycznymi," nie będzie miała czasu otrzeć łez niedoli, której sprawcą był kociel rozerwany w fabryce stolarskiej K. Simmlera na ulicy Smolnej. Tam apologetów naszych nie ma — przejdźmy więc do samego wypadku. Niedawno, mówiąc w *Prawdzie* (Nr. 26) o ubezpieczeniu robotników, zamierzonym przez ks. Bismarka, użyliśmy następującego przykładu: „Jeżeli w fabryce pęknie kociel, to koszta naprawy lub kupienia nowego ponosi fabrykant. Czemuż więc ma on być wolnym od tych kosztów, gdy skańczonym zostanie robotnik? Nadto, ponieważ społeczeństwo korzysta z owoców pewnej produkcji, musi również przyjmować udział w jej niebezpieczeństwach." Autor pisząc te uwagi, nie przeczuwał, że życie tak szybko je potwierdzi na naszym własnym gruncie, i że postawi przed nami kwestyę ubezpieczenia robotników, która w zwykłym biegu rzeczy interesuje nas tyle, co kłopoty japońskiego Mikada. Wreszcie (już drugi raz w tym roku) kociel pękł, zabił

trzech ludzi, zranił dwu, a wyleciawszy w powietrze, padł aż nad drugiej ulicy. Wychuch był tak straszny, że jednego robotnika rozerwał na kawały, innego zarzucił aż na drzewo. Odezwały się już podejrzania, że przyczyną katastrofy był niedozór i zużycie się kotła. Kwestyę tę, niewątpliwie ważną, pozostawiamy do rozstrzygnięcia sądowi, nas zajmuje tylko pytanie: kto wynagrodzi rodzinom śmierć zabitych lub pokaleczonych? Czy cały ciężar tego nieszczęścia mają ponieść one same? Czy p. Simmler jest obowiązany tylko do sprawienia nowego kotła, a my do podziwiania siły wybuchowej starego? Sądzę, że nie, że powinna być wypłacona sierotom dobrowolna asekuracyja, w której udział przyjąć musi zarówno p. Simmler, jak i społeczeństwo. Kto zakłada fabrykę, winien być materyalnie odpowiedzialnym nie tylko za szkody przedmiotów martwych, ale i ludzi; kto korzysta z pracy, winien podzielać jej niebezpieczeństwa. Gdyśmy p. Simmlerowi zapłacili za posadzki, nie jesteśmy jeszcze pokwitowani z obowiązku ratowania jego robotników. Tymczasem zaś, wy wszyscy, którym myśl o niedoli nizin społecznych nie zakłóca nigdy pogody życia, i którzy gotowi jesteście płakać nad grobem podkomitetu teatralnego, idźcie na miejsce wypadku i przypatrzcie się jego strasznej grozie.

Idź także i ty, natehniona wieszczko, która umiesz tak pięknie wyspiewywać skargę leż ludzkich, a może wylejesz z duszy swojej tak cudowne tony, jak te, które z prostej „fujarki" wydobyłaś w *Tygodniku Ilustrowanym*.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagł, gdym ja bosy
Głód w chacie?
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi;
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?
Oj, żeby ja poszedł ino
Przez pole,
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strachby było z tego siewu
Zać żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

Gdybym o tych zwrotkach pieśni p. Konopnickiej powiedział, że to są brylanty lub perły, słowa te zabrzączałyby dźwiękiem pochwalnego liczmanu. Powiem zatem tylko, że pragnąłbym tak umieć grać „na fujarce," a gdy nie umiem — pragnąłbym przynajmniej nieraz ją w życiu słyszeć.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

I znowu pożary. Takeśmy się już oswili z tą klęską, że najjaskrawsze wiadomości o świeżych jej ciosach przyjmujemy za gorzki chleb powszedni. Różne strony Królestwa i Cesarstwa dostarczają smutnych szczegółów do kroniki zniszczenia; ale nad wschodnimi okolicami łuny częściej niż na zachodzie płoną; dość przytoczyć: Mińsk, Augustów, Łuków, Józefów, Hrubieszów, Horodło. W korespondencyach prowincjonalnych, przepełnionych opisami wypadków i strat, jakie zrzuciła pożoga, natrafiamy czasem na obrazki, którym niepodobna odmówić poetycznej krasy — tragicznego lub przynajmniej melodramatycznego efektu: w powiecie np. miechowskim, w wiosce Poręba Górna — dwudziestoletnia dziewczyna podpala sto-

dolę, szukając śmierci pod gorejącą strzechą; w Horodle znowu jakiś okoliczny ziemianin, wjechałszy nocą do miasta, pierwszy spostrzega niebezpieczeństwo, odbija drzwi zagrożonego domu, i wydiera z objęć śmierci dwoje starszusków wraz z małoletnią ich wnuczką. Są to zaprawdę zdarzenia, godne pędzla i pióra natchnionego; pożądaną jednak byłoby rzeczą, aby cywilizacyja ograniczyła w rzeczywistości do minimum to ciemne źródło uroków artystycznych, aby podobnym niespodziankom zapobiegła czasem czujność prozaicznej straży i rychła obrona. Z innych miejsc Królestwa dochodzą nas sprawozdania, które już to poważnie, już humorystycznie skarżą się na stare niedołęstwo i zardzewiałe sprzęty maszyny społecznej, opóźniające ratunek w nieszczęściu. Taki np. charakter nosi na sobie, drukowana niedawno w *Kuryerze Codziennym*, kulawa pod względem formy językowej, korespondencyja z Łukowa, oraz pomieszczony w 198 numerze *Nowin*, list przejeżdżającego podczas pożaru przez Piotrków „topornika z Pułuska." Tu jak i na wszystkich ścieżynach postępu, brak nam nadewszystko solidarności i wytrwania. Brak przejęcia się ideą ładu i rozwoju organicznego.

W Radomskim, jak słychać, majątki ziemskie przechodzą coraz częściej w posiadanie kolonistów niemieckich, ulegają parcelacyi i stopniowemu wyniszczeniu; a obywatela rozbici na drobne kółka, szkodzą sobie wzajemnie, zapominając o jasnej, jak dzień, prawdzie, że „gromada to wielki człowiek." Pociesz się wszakże, zapadła prowincyo, nie ty jedna wyznajesz starą zasadę: „homo homini lupus." Jest to zjawisko odwieczne, typowe, polskie... Z czasem będzie może lepiej... Narody dojrzewają; nie jesteśmy już tem, czem byli nasi praojcowie za Wazów lub Sasów. Wobec braku między nami ściślejszych ogniw i węzłów, odznaczać troskliwie i cenić wypadka każde rzucone na nieurodzajną niwę nasienie lepszej przyszłości. Przed miesiącem zjechało do Sieradza liczne grono byłych kolegów szkolnych, którzy w r. 1866 pożegnali się z patentami w rękę za progiem tamecznego gimnazjum. Było to wykonanie praktykowanego oddawna między młodzieżą ślubu. Sam zjazd, jako forma, nie przedstawia żadnych wybitnych znamion: jest tylko oryginalna, dość kosztowna, choć pouczająca zabawa, aktem teatralnym, który nie wywiera zazwyczaj żadnego wpływu na losy spółbiedziaków. Można jednak tę formę ożywić, można jej nadać wartość rzeczywistego odnowienia koleżeńskich spójni, opierając się nie na wprowadzeniu do jednego poziomu różnych dróg zawodowych, nie na sztucznym budzeniu lub niwelacyi talentów, ale na wspomnieniach młodości i tych łącznikach, które członków danego społeczeństwa w jedno ciało splatają. Sieradzanie, współuczniowie z r. 1866, jeśli nas wieści nie mylą, przynajmniej w pewnej mierze dokonali tego cudu. Ich utrwalony związek koleżeński posiadać będzie swe moralne i materyalne ognisko, swą kasę pożyczkową, obok wido-ków przyszłości w odnawianych peryodycznie zjazdach. Niech solidarność wychowawców jednego zakładu innym za wzór służy. Złota nie wspólnych interesów społecznych, rozsuta do godziwej a dozwolonej przez rząd, granicy, pozwoli nam odczuć silniej i zrozumieć całą doniosłość hasła, jakie podnoszą: p. Gers, redaktor *Gazety Leckiej*, pisanej dla mazurów pruskich, i p. Parczewski, adwokat z Kalisza, pilny choć nieszczerliwy obrońca bytu etnologicznego pokrewnych nam łużyceń. Dzisiaj, dalecy jeszcze od tego wysokiego szczybla w rozwoju uczuć obywatelskich, cieszymy się mieniem jakie posiadamy: średniowieczną bezprzemysłowością i opieką *magidów* w najgłębszej prowincyi, wędrowną Melpomeną i obywatelską strażą bezpieczeństwa u ognisk średniego tonu, hipnotyzmem

wreszcie i źle zamaskowaną „tendencyjnością“ pod papierowym dachem nadwiślańskiej naszej świątyni.

Zniwa się już rozpoczęły. Rolnicy jasniej spoglądają w przyszłość; zakłóca im jednak piękne sny pojawiający miejscami chrząszczyk, i niepokoi karbunkul, który na Połwie corocznie podobno przetrzebia dobytek.

A—m.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 27 lipca.

Na porządku dziennym w polityce stoi ciągle jeszcze kwestya przymierzy, o której wzmiankowaliśmy już w poprzednim przeglądzie. Dzienniki są niezmordowane w dyktowaniu gabinetom dyplomatycznym nowych związków, nowych podziałów terytoryalnych. W znacznej mierze przypisać można te trudy dziennikarskie potrzebie załatwienia braku wiadomości faktycznych, w każdym razie jednak niepodobna nie zwrócić na nie uwagi, choćby wobec tej pewności, że jeśli w tej chwili niewiele się w polityce międzynarodowej dzieje, to niezaprzeczenie wiele się przygotowuje. Dzienniki tedy angielskie urozmaiciły znane nam już kombinacje przymierzowe wprowadzeniem na scenę Rosyi. Z powodu pobytu w Paryżu znanego z wojen tureckiej i tekińskiej generała Skobieleva, donoszą one, że generał przybył do stolicy francuskiej w misji politycznej, mianowicie, aby zaofiarować Francji przymierze rosyjskie. Wiadomość podobna pojawiła się była już poprzednio w prasie niemieckiej, z tym dodatkiem, że posłannictwo Skobieleva nie odniosło pożądanego rezultatu. Otóż obecnie *Morning Post* prostuje to doniesienie. Wedle londyńskiego dziennika, pogłoska o bezowocności propozycji rosyjskiej powstała stąd, że sądzono, jakoby gabinet petersburski chciał nakłonić Francję do przymierza, skierowanego przeciw Niemcom, a wiadomo jest dokładnie, że rząd paryski dziś nawet pod rozważenie by nie wziął planu mającego na celu działanie przeciw Niemcom. Rosya jednak bynajmniej takiego planu nie podsuwała. Generał Skobielev miał za zadanie tylko zapewnić gabinet paryski, iż Rosya względem operacji francuskich w Afryce usposobiona jest jak najżyczliwiej, a ewentualnie i dalsza akcyja rzeczypospolitej, zmierzająca do ugruntowania wpływu i zabezpieczenia interesów Francji w Syrii i Azji Mniejszej, na opozycję Cesarza Rosyi nie natrafi. Chodzi tu więc o porozumienie się co do spraw pozaeuropejskich, względem których i ks. Bismarck zachowuje się dla interesów francuskich i rosyjskich życzliwie, bo mu w drogę nie wchodzi. Rezultatem tego porozumienia — zawsze według *Morning Post* — byłoby znakomite ułatwienie Francji jej działania w krajach śródziemno-morskich Afryki i Azji, któreby postawiło Anglię w położenie nadzwyczaj trudne. Włochom obiecują Trypolis, Rosya wzięłaby Armenię, Austria „wynadgrodziła“ na półwyspie Bałkańskim, Niemcy zaś za „uczciwe mekierstwo“ zagarnęłyby wybrzeże morza Północnego. Królowa morz, Anglia, ma być wykluczona zupełnie z tego „koncertu“ mocarstw stałego ładu.

Na dniu 21 sierpnia mają być rozpisane wybory powszechne we Francji, pod warunkiem, że Izby ukończą swoje prace przed końcem lipca. Czy to nastąpi, dotąd niewiadomo, jakkolwiek obrady nad budżetem w Senacie są na ukończeniu. Nowe starcie wynikło między obu Izbami z powodu ustawy o obowiązkowym nauczaniu. Izba deputowanych bowiem nie przyjęła poprawek, poczynionych przez

Senat. Zdaje się jednak, że to na przedłużenie obrad nie wpłynie.

W Niemczech o terminie wyborów nie jeszcze niewiadomo. Rząd kryje się z zamiarami swymi w tym względzie. Na liberalizm zaś tak się ks. Bismarck rozgniewał, że jego organ wymyślał nawet austriackim „niemcom liberalnym“, z powodu ich zachowania się w walce z Czechami. *Welch eine Wendung!* możnaby zawołać.

Z Londynu rozesłano w tych dniach telegrafem interesującą wiadomość, że rządy: Anglii, Austrii i Holandyi, przygotowały notę do gabinetu petersburskiego, w kwestyi praw wyjątkowych co do żydów, jakie istnieją w Rosyi. Wezwano inne mocarstwa do podpisania tej noty. *Agence Russe* objaśnia, że w Petersburgu dotychczas nie o podobnym akcie niewiadomo.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Paryżu ogłoszono zbieranie składek po całym świecie na pomnik dla uczczenia geniuszu Wiktora Hugo.

— W Londynie odbył się międzynarodowy kongres powszechny rewolucjonistów.

— W skutek ostatnich upałów, w Stanach Zjednoczonych Ameryki było około 300 wypadków słonecznego porażenia ludzi; kilkadziesiąt w Europie.

— Dochód z telegrafów w Państwie Rosyjskiem w r. 1880 wynosił 7,696,661 rs. i był o 9% większy niż w r. poprzednim.

— W tych dniach zmarł w Warszawie żebrak, nazwiskiem Paprocki, który zbierał znaczny majątek: gotówki zostało po nim przeszło 4,000 rs. oprócz papierów procentowych i kosztowności.

— Kasa pożyczkowa dla rzemieślników warszawskich pomieszczoną została przy ulicy Podwale.

Nauka. Stopień doktora nauk przyrodniczych otrzymały dwie młode kobiety we wszechnicy rzymskiej.

— W Londynie rozpoczął posiedzenia kongres homeopatów.

— W Anglii w d. 16 lipca r. b. upał doszedł do 98° Fahrenheita w cieniu.

— P. Wild, dyrektor głównego obserwatorium fizycznego wybrany, został na przedstawiciela Rosyi na kongresie meteorologicznym.

— Towarzystwo mineralogiczne rosyjskie wyznaczyło rs. 500 nagrody za napisanie najlepszego dzieła z dziedziny mineralogii.

— 22 lipca obserwowano w Chamonnix i Bernie w Szwajcaryi faliste trzęsienia ziemi.

— W Petersburgu zawiązało się towarzystwo telefoniczne.

Przemysł i handel. Gmach banku Towarzystwa Kredytowego w Kownie spalił się do szczytu. Dokumenty, kasy i weksle uratowano.

— Rząd austriacki udzielił ks. Sapieże i Spółce pozwolenie na budowę kolei z Jarosławia do Sokola.

— Wydział krajowy Galicji ogłosił konkurs na dzieło o wytworze nafty i zużytkowaniu jej produktów ubocznych.

— Towarzystwo francusko-włoskie kopalń węgla w Dabrowie założyło dla swych robotników kasę zjednoczoną, rozszerzyło miejscową szkołę elementarną i urządziło obszerny park na wytchnienie po mozolnej pracy.

— 25 lipca r. b. w Warszawie przy ulicy Smolnej w fabryce stolarskiej Simlera wyleciał w powietrze kocioł parowy i przebiegłszy przez ulicę i kamienicę 3-piętrową spadł w Alei Jerozolimskiej. Zabitych 3 ludzi, rannych 2.

— Komisya Towarzystwa technicznego rosyjskiego wypracowała referat co do wprowadzenia w Państwie Rosyjskiem systemu miar dziesiętnych.

— Wystawę warszawską dzieł sztuki zastosowanej do przemysłu odwiedziło 18,000 osób.

— P. Bloch został ponownie obrany prezesem kolei połud. zach. rosyjskich.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Januaremu M. w Niemczech. Wskutek reklamacji p. B. L. komplet wysłaliśmy Panu ponownie; musi on się znajdować już w ręku Pana. Gdyby znowu nie doszedł, prosimy o doniesienie.

P. Wiktorowi B. w Warszawie. Zauważyliśmy i odpowiemy. Może masz Pan rację, że te gromy sprowadziła na nas... *Pani Podkomorzyna.*

P. J. P. w Krakowie. Odrębnych od *Prawdy* książek nie wydajemy.

Ks. G. Chm. w Lincinie. Administracya *Nowin* pomyłkę naprawiła i uprzejmie za nią przeprosza. Nr. 27 wysłaliśmy.

— *P. Br. St. w Szczawnicy.* — *P. Gl. w Petersburgu.* — *P. R. N. J. Łopuszenie.* — *P. B. K. w Odessie.* — *P. Jask. w Lublinie.* — *P. Sz. w Mironowie.* — *P. K. M. A.* — *P. Al. Kosł. w Dolhobyczowie.* Wysłano.

Na pomnik Mickiewicza.

Od A. M. B. z Mejs. Burbiszek Pońwiezskich rs. 20 (przesłane do ogólnego funduszu *Tyg. Ilustrowanemu*).

OGŁOSZENIA.

F. A. LANGE.

HISTORIA FILOZOFII MATERYALISTYCZNEJ

tlomaczenie

FELIKSA JEZERSKIEGO,

siódmy zeszyt opuścił prasę.

Treść: Materyalizm po Kancie (dokończenie). Rozdział II. Nauki przyrodnicze. 1. Materyalizm i badania ścisłe. 2. Siła i Materya.

3—3

NA OBECNĄ PORE POLECAMY:

Młocarnie maneżowe pasowe i trybowe z fabryki Cegielskiego w Poznaniu, uznane z powodu swej trwałości i dokładności wykończenia powszechnie za najlepsze, a mianowicie:

Młocarnie parokonna trybową z maneżem 21 cali szeroką, wymagającą siły dwóch koni mocnych a trzech lub czterech słabszych, wymłacającą w 10 godzinach 12—15 kóp zboża ozimego w cenie rs. 340, takąż pasową w cenie rs. 380.

Młocarnie czterokonna z maneżem 25 cali szeroką, wymagającą siły 3 mocnych lub 4 średnich koni, wymłacającą w 10 godzinach 18—20 kóp zboża ozimego w cenie rs. 370, takąż pasową w cenie rs. 410.

Młocarnie szerokomłotną 52 cale szeroką z maneżem, wymagającą siły 6 dobrych koni, wymłacającą w 10 godzinach około 30 do 40 kóp zboża ozimego w cenie rs. 530, takąż pasową w cenie rs. 575.

Bukownik do konieczyny do młocarni parokonnej, kosztuje rs. 8, do młocarni czterokonnej rs. 10, do młocarni szerokomłotnej rs. 27.

Do ustawienia i puszczenia w ruch młocarni, wysyłamy na żądanie zdolnych monterów.

Wasilewski & Kaniewski

W WARSZAWIE.

Ulica Nowo-Senatorska Nr. 5 Hotel Litewski.

2—2

Prenumeratory „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze **PRAWDY**. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.